



DZIECI  
STAMTĄD



Arlette  Cousture

# DZIECI STAMTĄD

• NAWET PTAKI UMILKŁY •

Według koncepcji  
Arlette Cousture i Daniela Larouche'a

Działania promocyjne wokół książki wsparły: Międzynarodowe Stowarzyszenie Studiów Quebeckich, Rada Sztuki i Literatury Quebeckiej, Centrum Frankofonii Ameryk, Bibliothèque des Amériques, Wydawnictwo Libre Expression, Fundacja The Bridge i Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie.



Książkę wydano na papierze w 100% z recyklingu, posiadającym certyfikaty FSC, Blue Angel, EU Ecolabel. Papier spełnia środowiskowe normy REACH i standardy ISO14001, ISO 50001, ISO 9001.

© Les Éditions Libre Expression, Montréal, 1992, 2003

Original title: Ces enfants d'ailleurs, tome 1

© Wydawnictwo WAM, 2017

#### PRZEKŁAD

Konsultacja merytoryczna: dr hab. Joanna Warmuzińska-Rogóż

Część 1 i 2 oraz *Wspomnienie*: Iwona Badowska

Część 3 i 4: Grażyna Majcher

Część 5 i 6: Katarzyna Chojnowska

Redakcja: Tomasz Wiścicki

Korekta: Maria Mazurek

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

fot. © Vyntage Visuals 702254392/Shutterstock.com

Skład: EDYCJA

ISBN 978-83-277-0810-6

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260

www.wydawnictwowam.pl

druk: DIMOGRAF • Bielsko-Biała

*Dla Daniela*

*Moi bohaterowie powracają do rodzinnego kraju dzięki Margo i Adamowi Koniuszewskim, założycielom Fundacji The Bridge.*

Arlette Cousture



# Wspomnienie

## „Zabieram ze sobą twoje oczy”

Port lotniczy Montréal-Mirabel. Przysiadłam na ławce. Płaczę... Wezwano już pasażerów odlatujących do Londynu. Miałam udać się do Londynu, a stamtąd do Warszawy, żeby wreszcie zobaczyć, poczuć i usłyszeć Polskę. Od trzech lat ja i Daniel, nieustannie pochyleni nad dokumentami, obiecywaliśmy sobie, że po zakończeniu pisania tej powieści pojedziemy do Polski, żeby popatrzeć na twarze naszych bohaterów, poznać warunki, w jakich żyli, odszukać ich dom, pooddychać górskim powietrzem Karpat.

Ja jednak zostałam, Daniel poleciał sam. był bardzo smutny moment. Zabrakło mi energii, odporności... Moje ciało sprzeciwiło się temu wyjazdowi.

*Dzieci stamtąd* to prawdziwe dziecko, bo choć to ja jestem autorką powieści, jej załążek pochodził od mojego współmałżonka, Daniela Larouche'a.

Od wielu już lat pragnęłam napisać powieść, której bohaterami byłiby imigranci. Czyżby to była jakaś spuścizna rodzinna? Bez wątplenia. Mój ojciec zajmował się imigrantami w Canadien National, w Stowarzyszeniu na rzecz Imigrantów Katolickich, w Kanadyjskim Stowarzyszeniu Imigracji Wiejskiej, a w rządzie Québecu utworzył na początku lat sześćdziesiątych Ministerstwo ds. Imigracji. Dzięki temu wcześniej zawarłam znajomość z „nowymi Kanadyjczykami”. W domu panował zakaz nazywania ich

imigrantami, to określenie uznawano za pejoratywne. Często zapraszałam tych nowych Kanadyjczyków, spędzaliśmy z nimi wieczory w domu lub na łonie natury, a także towarzyszyliśmy im w drodze na wieś, gdzie zamierzali kupić kawałek ziemi. Bywał tam Andrew, który pochodził z Anglii, a w 1956 roku pojawił się Grégoire, Węgier, którego rodzinę otoczyliśmy opieką. Jego zapamiętałam szczególnie dobrze, ponieważ nosił okulary – ach, jakże mu ich zazdrościłam! – a jego matka otrzymała w prezencie naszą piękną trzepaczkę do jaj, z czerwoną rączką – och, jaka byłam o to zła! Jeździłam też często na kolonie letnie do Huberdau, przeznaczone wyłącznie dla dzieci nowo przybyłych... no i dla mnie – czyżbym należała do tych troszkę przywilejowanych?

Czas mijał, a tornado, jakie wywołała premiera *Les Filles de Caleb* (Córek Kaleba), wciągało mnie coraz bardziej. W latach, które poświęciłam na pisanie tej pierwszej powieści, obiecywałam sobie wielokrotnie, że następna książka – a z pewnością jeszcze następna – będzie opowiadać o życiu imigrantów. Tymczasem po opublikowaniu drugiego tomu *Les Filles de Caleb*, czyli *Le Cri de l'oie blanche* (Krzyk białej gęsi), wzięłam się nadzwyczaj poważnie do pracy nad dwiema powieściami, które nie miały żadnego związku ze światem imigrantów: *Fait d'hiver* (Incydent zimowy) i *William le Conquerant* (Wilhelm Zdobywca). No i popełniłam błąd, zapowiadając te powieści! Rezygnacja z pierwszej z nich i oczekiwanie drugiej bardziej przypominały żalobę niż poronienie.

Na początku 1989 roku Daniel, moje *alter ego*, wrócił pewnego wieczoru do domu i opowiedział mi historię, jaka wydarzyła się na Węgrzech w 1956 roku – o ojcu, który po stłumieniu powstania węgierskiego przez oddziały radzieckie poprowadził swoje dzieci w kierunku granicy i zmusił je do jej przekroczenia i wyruszenia ku wolności... i ku Kanadzie. To wystarczyło, by odżyła moja chęć opowiedzenia o nowych Kanadyjczykach.



Oboje, Daniel i ja, zaczęliśmy snuć marzenia o serialu telewizyjnym, a nieco później rozpoczęliśmy nad nim pracę. Dom szybko wypełnił się publikacjami na temat Polski i jej historii najnowszej. Dlaczego Polska? Ano dlatego, że Polacy, o bogatej tradycji frankofilskiej, walczyli również pod dowództwem Brytyjczyków podczas II wojny światowej, co nadawało pełną wiarygodność równoległej asymilacji członków tej samej rodziny z obu wspólnotami językowymi Kanady. Razem z Danielem wyobraziliśmy sobie taką rodzinę, lubiącą muzykę, do której należeliby Tomasz Pawulski, Zofia Pawulska i dzieci Pawulskie. Oboje też przestudiowaliśmy dzieje wojny w Europie, sytuację powojennej Kanady, warunki, w jakich przybywali imigranci, i sposób, w jaki byli przyjmowani...

Nieco później nasze przedsięwzięcie zmieniło kurs: serial telewizyjny owszem, ale najpierw i przede wszystkim powieść. Nasz katamaran rozdzielił się zatem i ja odtąd samotnie kontynuowałam tę podróż w czasie i w przestrzeni. Moja literacka cięża trwała dwa lata, na morzu raz rozszalałym, raz oleistym, ale zawsze z dobrym radiem, co umożliwiało mi kontakt z „ojcem”, kiedy bałam się wiatru i fal...

Daniel nie był ojcem wszystkich osób tej powieści, ale wszystkie je zaadoptował. Zaadoptował więc Herr Schneidera, Étienne’a, pana Jaworskiego, Florence, państwa Dupuis... Nie napisał w tej powieści ani linijki, ale nakłonił mnie do wprowadzenia pewnych szczegółów historycznych...

Wtedy, na lotnisku Mirabel, siedziałam zapłakana i niepokieszona. Daniel odleciał. „Zabieram ze sobą twoje oczy” – powiedział. Ale zanim zawinęłam do portu, musieliśmy ponownie wsiąść na ten sam katamaran. Daniel powrócił bowiem z setkami fotografii, a także dokładnych, w tym również plastycznych, map Krakowa i Polski.

A z kieszeni wyciągnął, uśmiechając się, mały prezent nabyty w krakowskim antykwariacie: okulary w drucianej oprawce, które odtąd patrzą na mnie niby prawdziwe oczy Tomasza...

*Za twoją miłość, Danielu, za współpracę, za wsparcie i zaufanie, dziękuję!*

*Arlette Cousture*

# CZĘŚĆ PIERWSZA

1939–1944



# I

– Ela, poczekaj na mnie!

Janek dostrzegł siostrę na skrzyżowaniu Mikołajskiej i Świętego Krzyża. Dał jej znak ręką i z ciężką torbą przewieszoną przez ramię zaczął biec w jej stronę, podskakując z radości. Patrzyła, jak nadbiegał.

– Koniec roku! Koniec z lekcjami! Ela! Mam mnóstwo pomysłów na lato.

Poszli w kierunku domu, potem weszli na pierwsze piętro. Pani Grabska, dozorczyńni, zamiatała korytarz i łagodnie ofuknęła Janka, widząc, jak rozdeptuje zamiecione śmiecie.

– Ale co się dzisiaj z wami dzieje?

– Koniec roku szkolnego! A jutro jest dwudziesty czwarty czerwca, święto mojego patrona, a Jurek, mój brat, pojedzie pociągiem do Wężerowa.

Janek mówił tak szybko, że pani Grabska, trochę już zniecierpliwiona, nie próbowała nawet go zrozumieć. Wiedziała, że od pięciu lat, odkąd skończył dwanaście lat, Jurek spędzał wakacje na wsi. Popatrzyła jeszcze, jak Ela wchodzi do mieszkania, machnęła z dezaprobatą ręką do Janka, który poganiał siostrę. Zanim zniknął za drzwiami, wychylił jeszcze głowę i powiedział pani Grabskiej, że za dwa lata on będzie również wyjeżdżał na wieś na całe wakacje.

– Jak się ma dwanaście lat, można już zaczynać pracę w gospodarstwie. Tato chce, żeby nasze ręce były tak samo sprawne jak nasze głowy.

Janek zamknął drzwi z hukiem, a pani Grabska usłyszała jeszcze, jak pani Pawulska przerwała grę na pianinie, chcąc widocznie skarcić syna.

Ela odłożyła teczkę i pobieгла ucałować mamę.

– No, jak tam minął dzionek?

– Jak wszystkie ostatnie dni szkoły. Siostry urszulanki śmiały się więcej niż zwykle, a dziewczynki rozprawiały o wakacyjnych planach.

Zofia spojrzała na córkę. Zaciśnęła wargi, patrząc z niedowierzaniem, jak obnosi swoje dwanaście lat z taką dojrzałością, a zarazem elegancją wywołującą zazdrość koleżanek. Zofia i jej mąż Tomasz nie przestawali dziękować Bogu, że dał im troje tak uroczych dzieci. Zofia przesunęła dłonią po czole Eli, chcąc odsunąć jasny kosmyk znad brwi dziewczynki i umieścić go za uchem. Potem poleciła córce opróżnić tornister i wyrzucić wszystkie niepotrzebne papiery.

– Powiedz swojemu bratu, żeby się ze mną przywitać! Mam wrażenie, że o tym zapomniał.

Ela zapukała do drzwi pokoju brata i weszła, nie czekając na pozwolenie. Janek, wyciągnięty na łóżku, zajęty był przeglądaniem stron jakiegoś zielnika. Ela usiadła obok.

– Mama chciałaby cię zobaczyć.

– Idę, już idę ...

– Skąd masz ten zielnik?

– Dał mi taki jeden, wysoki... Powiedział, że nie będzie mu już to potrzebne w liceum.

Janek odwrócił jeszcze kilka kartek, położył zielnik na kolanach siostry i wyszedł. Zofia czekała na syna i uśmiechnęła się na jego widok.

– A cóż to takiego ważnego się wydarzyło, że zapomniałeś się ze mną przywitać?

Janek skwapliwie ucałował dłonie mamy, jakby prosił o wybaczenie. Zofia zaśmiała się, poklepała syna po głowie i przypomniała, że tacie będzie towarzyszył dziś ojciec Villeneuve.

– No nie, to znaczy że Jurek, Ela i ja będziemy sami jedli w kuchni?

Zofia strapiła się, patrząc na jego nieszczęśliwą minę.

– Porozmawiam o tym z tatą. Myślę, że zgodzi się, żebyście jedli razem z nami. Ojciec Villeneuve wyjeżdża jutro z Krakowa do Kanady.

– Co? Wraca do Kanady?

Zofia zmieszała się, widząc taką radość na twarzy syna.

– Ależ Janku, nie ma w tym nic radosnego. Ojciec Villeneuve chętnie pozostałby tu jeszcze rok.

– A więc to raczej smutne. Ale cieszę się, że będzie mógł mi przysłać piękne czerwone liście klonu. Wkleję je do mojego zielnika.

– To ty masz zielnik?

– Tak, od dzisiaj.

Janek wrócił do siostry, obojętny już na dźwięki muzyki rozbrzmiewające w całym mieszkaniu.

Tomasz przepuścił przodem ojca Villeneuve'a i obaj skierowali się do salonu. Dołączyła do nich Zofia, niosąc na tacy dwie szklane czarki białego wina. Janek i Ela podeszli bliżej, chcąc powitać duchownego. Janek podał mu rękę i skłonił lekko głowę, Ela grzecznie dygnęła. Zofia napomknęła, że zaprosiła dzieci do wspólnego posiłku. Tomasz się zgodził, a Janek był zachwycony, że będą mogli zasiąść przy stole z dorosłymi.

– W ten sposób, tato, uczymy również zakończenie roku szkolnego!

– Myślisz, że powinniśmy to uczcić? Dla mnie to raczej smutne, że przez długie dwa miesiące nie zajrzymy do książki.

– No nie ... W takim razie będziemy świętować wyjazd Jurka na wieś, no i jutrzejszy dzień mojego patrona, świętego Jana.

Ela szturchnęła brata w obawie, że wzniesie kłótnię. Wiedziała, że jeszcze dwa zdania i tato będzie musiał przywołać go do porządku surowym spojrzeniem. Janek zrozumiał gest siostry i dodał tylko, że w takim razie zanim zasiądą do posiłku, pograją jeszcze chwilę na skrzypcach.

Dzieci pobiegły, Zofia spojrzała na męża i zorientowała się, że coś z nim nie tak. Wiedziała już, że kropelki potu na jego nosie wskazują na jakiś wewnętrzny niepokój. Powróciła do kuchni i po chwili wyszła stamtąd, niosąc tacę ze smakowitymi śliwkami z boczkiem. Ojciec Villeneuve poczęstował się, oblizując wargi.

– Co mam zrobić, Zofio, żeby na nowo przyzwycząić się do posiłków kanadyjskich zakonnicy? Niech mi Bóg wybaczy, ale one nie pojmują zasad dobrej kuchni.

– Mogę podarować księdzu książkę kucharską! Ksiądz zna już na tyle polski, żeby to i owo przetłumaczyć.

Villeneuve spojrzał na nią, zacisnął wargi w półuśmiechu, szukając wzrokiem aprobaty Tomasza, i ostatecznie przystał na tę propozycję.

– Dobra. Więc nie muszę ubolewać z powodu wyjazdu do Manitoby. Zofio, czy masz przepis na bliny?

Tomasz nie był naiwny. Swobodny i niefrasobliwy ton ojca Villeneuve'a wskazywał na jego obawy wobec rosnącego napięcia politycznego w Europie. Villeneuve przebywał w Polsce od dwóch lat, a Tomasz przyjaźnił się z nim, odkąd pewnego dnia spotkał go w bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego. Duchowny, ze słownikiem w ręku, szukał rozpaczliwie książek na temat historii Polski.

– Czy mógłbym księdzu pomóc?

– Pewnie tak. Te książki są dla mnie niezrozumiałe.

– Zgadzam się. Historię trudno nieraz zrozumieć.

– Och nie! Ja nie mówię o historii, ale o języku.



Tomasz pożyczył więc ojcu Villeneuve'owi najpierw książki Janka i Eli, potem Jurka, i duchowny mógł rozpocząć naukę języka polskiego pod skrupulatną kontrolą Tomasza, który odczuwał swoistą przyjemność, mogąc odkrywać swój kraj przed tym cudzoziemcem i doświadczając jego wdzięczności i szczerości, a zwłaszcza przyjaźni.

Wreszcie zasiedli do stołu. Tomasz był wyraźnie zdenerwowany: Jurka ciągle nie było. Ela i Janek siedzieli wyprostowani, nadstawiając uszu z nadzieją, że ojciec Villeneuve zwróci się do nich z jakimś pytaniem. Rodzice pozwalali im zabierać głos tylko wtedy, gdy ktoś skieruje do nich pytanie. Janek usiłował przyciągnąć wzrok taty, mając nadzieję, że ten dostrzeże wreszcie jego wielką chęć, by powiedzieć choć kilka słów.

Ela wstała od stołu, by otworzyć okno akurat w chwili, kiedy trębacz z kościoła Mariackiego (ojciec Villeneuve wolał nazywać go kościołem Notre-Dame) zaczął wygrywać z wysokości wieży pierwsze nuty hejnału o ósmej wieczorem. Tomasz zmarszczył brwi i zaczął przecierać okulary – o coraz grubszych szklach, co miało korygować jego krótkowzroczność.

– Co się dzieje z Jurkiem? Czy on coś ci mówił, Zofio?

– Nie. Jego walizka jest już spakowana na jutro, a pan Porowski telefonował z Wężerowa, że będzie czekał na stacji.

Tomasz cmoknął z niezadowolaniem i dorzucił, że Jurek jest już wystarczająco duży, żeby nieść swój bagaż i dojechać pieszo ze stacji do gospodarstwa. Ciągle spoglądał na zegarek, toteż ojciec Villeneuve, chcąc go uspokoić, zauważył niezręcznie, że syn Tomasza ma już, bądź co bądź, siedemnaście lat.

– Wybacz mi, François, ale ty nie masz dzieci i nie możesz tego zrozumieć.

Ojciec Villeneuve poczuł się dotknięty uwagą Tomasza, który strapił się jeszcze bardziej, widząc zmartwione oblicze Zofii. Janek

mógł już tylko obserwować, jak odpływa jego nadzieja na włączenie się do rozmowy dorosłych. Teraz on spróbował uśmiechnąć się do Villeneuve'a, co duchowny odczytał jako gest współczucia.

– A więc, młody człowieku, zaczynają się wakacje?

Janek podskoczył z radości. Nareszcie będzie mógł opowiedzieć o swoim zielniku i poprosić ojca Villeneuve'a o upragnione liście klonu. Już miał odpowiedzieć na pytanie, kiedy nagle otworzyły się drzwi wejściowe i do jadalni wszedł Jurek. Miał minę skruszoną i zmartwioną. Podszedł pośpiesznie do Villeneuve'a, uściskał mu dłoń, przepraszając za spóźnienie, ucałował dłoń matki i poprosił ojca, żeby wybaczył mu tę niesubordynację.

– Gdzie się podziewałeś?

Jurek usiadł, rozłożył swoją serwetkę i odpowiedział, że był w Jamie Michalikowej. Tomasz się obruszył:

– Jesteś za młody, żeby chodzić po kawiarniach.

– Byłem tam z moimi profesorami i niczego nie piłem.

Tomasz wzruszył ramionami, rozluźniony. Wiedział, że syn najpewniej świętował zakończenie roku szkolnego i swój wyjazd na wieś. Poprosił Zofię, żeby przyniosła Jurkowi szklaneczkę wina, a ten ostatni zaczerwienił się, dumny z tej oznaki ojcowskiego zaufania. A Janek rozmyślał o swoim zielniku i wzdychał... Ojciec Villeneuve zapomniał widać kompletnie, że wcześniej zadał mu pytanie...

– A więc, młody człowieku, wyjeżdżasz do Wężerowa?

Villeneuve z upodobaniem zwracał się do nich „młody człowieku” i „młoda panno”. Janek wbił ze złości widelec w danie na talerzu, Jurek natomiast pośpiesznie przełknął łyk wina i spojrzał pytająco na tatę, który skinieniem głowy przyzwolił synowi zabrać głos.

– Tak, jutro rano. Mój tata zawsze powtarza, że trzeba mieć ręce równie sprawne jak głowę.

– Bardzo dobrze, młody człowieku. Będziesz pracował w ogrodzie warzywnym?

– Tak, tak. W ogrodzie pana Jacka. Każdego roku sieję, sadzę, pielę i... gram na skrzypcach z panem Jackiem.

– Pan Jacek był również moim nauczycielem gry na skrzypcach. Uczył mnie też, jak krzewić miłość do muzyki. Obaj – twój tata, wspaniały człowiek, i ja – darzymy przyjaźnią pana Jacka i jego żonę.

Zofia wyrażała się z wielką sympatią o panu Porowskim, a Jurek potwierdzał wszystkie jej słowa.

– Tato, dzisiejszego wieczoru w Jamie Michalikowej myślałem o tobie.

– Naprawdę?

– Chcę wierzyć, że w zdrowym ciele musi być zdrowy duch, ale widzę, że ten duch, jeżeli chodzi o niektórych moich kolegów, jest coraz bardziej chory.

Tomasz, zaintrygowany słowami syna, spojrział z rozbawioną miną na Villeneuve'a.

– Mówisz: chory?

– Gdybyś mógł ich słyszeć, tato! Przynajmniej dwóch twierdzi, że Niemcy potrzebują takiego wodza jak Hitler, żeby oczyścić rasę aryjską...

– Niech Bóg im wybaczy! – Villeneuve był oburzony słowami, które usłyszał. Tomasz zdjął okulary i długo je wycierał.

– Znam ten sposób myślenia. Mam nadzieję, że ty nie jesteś jednym z nich?

– Jak możesz tak przypuszczać, tato? Ostro zaprotestowałem, no i obrzucili mnie wyzwiskami.

Jurek zamilkł na chwilę i przeżuwał teraz powoli, obserwując zainteresowanie zebranych. Z ironiczną miną zaproponował, żeby spróbowali odgadnąć, jak go przezywano. Tomasz podsunął słowo „wieśniak”, Zofia „pyskacz”, a Villeneuve „odszczepieniec”. Jurek przełknął kęs, który miał w ustach, i obwieścił z dumą, że wyzwano go od „Polaków”! Tomasz potrząsnął głową.

– No tak, mówili o Polakach tak, jakby nimi nie byli.

– Właśnie, tato. Mówili po francusku, kiedy tylko się dało, i cytowali strofy Lamartine’a.

Jurek wstał i naśladowując zachowanie kolegów, wyrecytował dwie linijki poematu:

– „Cóż w końcu znaczy ten cały barbarzyński porządek, który cię więzi z dala od twojej kolebki?”

Tomasz podniósł głowę. Szczerłość w głosie siedemnastoletniego syna wprawiała go w zdumienie i niedowierzanie. Dołączył swój smutny głos do ostatniej frazy:

– „Cóż w końcu znaczy to miejsce, gdzie los zgotował twój grobowiec chwalebny?”

Ten krótki zaimprovizowany duet rozbawił Janka i Elę. Villeneuve i Zofia spojrzeli po sobie zaniepokojeni, Jurek zaś, który nie zrozumiał ukrytej myśli ojca, powrócił do stołu i dalej opowiadał o swoich współtowarzyszach.

– A jednak oni są na swój sposób serdeczni. Wybaczą mi moją pospolitość nie tylko dlatego, że jestem synem profesora Uniwersytetu Krakowskiego, który nazywają „sławnym Uniwersytetem Jagiellońskim”, z naciskiem na słowo „sławny”, ale również dlatego, że moja mama, o czym powszechnie wiadomo, jest jedną z najlepszych nauczycielek gry na fortepianie w Krakowie i niezrównaną wykonawczynią utworów Chopina. No i powtarzają wszystkim, że Chopin jest tylko w połowie Polakiem, a w drugiej Francuzem.

Tomasz przerwał sucho:

– Powiedz tym swoim przyjaciom, że prawdopodobnie pobrudzą sobie te swoje czyste i wypielęgnowane rączki, kiedy będą musieli kopać rowy strzeleckie.

Jurek spojrział na Villeneuve’a i na mamę. Zastanawiał się, czy tato zareagował tak gwałtownie, ponieważ on, jego syn, został obrzucony wyzwiskami, czy może dlatego, że wojna jest bliższa, niż to się wydaje. Zofia pocieszyła syna uśmiechem, po czym wstała

i zaczęła odnosić talerze do kuchni. Ela poszła w jej ślady, zaś Janek ogłosił z dumą, że jego ręce i tak nie są zbyt czyste, więc nie boi się kopania rowów.

W „nagrode” musiał wstać od stołu i iść się umyć.

Tomasz podszedł do okna. Hejnał z wieży mariackiej obwieszający godzinę dziewiątą wieczorem nagle się urwał.

– Czy to prawda, Tomaszu, że ten hejnał zawsze się tak nagle urywa?

– Tak, François, i to jest właśnie Polska. Niekończąca się pamięć o smutnych wydarzeniach. Ten urwany hejnał to także codzienne requiem na cześć strażnika, którego przeszyła tatarska strzała, kiedy grał tę melodię.

Janek powrócił do salonu i usiadł obok starszego brata, którego bezgranicznie podziwiał. Jurek tymczasem zaproponował, żeby urządzić mały recital upamiętniający odjazd ojca Villeneuve’a do Kanady, co cała rodzina zaakceptowała z entuzjazmem. Młodsze rodzeństwo było uradowane, gdyż ten pomysł odsuwał porę pójścia spać, a starszy Jurek promieniał zadowolony, że dorośli zaakceptowali jego pomysł.

Będąc już w swoim pokoju, Janek wyciągnął spod poduszki nowy zielenik i odwrócił kilka kartek. Czynił to z wielką ostrożnością, nie chciał bowiem uszkodzić zasuszonych kwiatów i liści. Trzykrotnie próbował poprosić ojca Villeneuve’a o przysłanie mu z Kanady czerwonych, pomarańczowych i rudych liści, ale ciągle coś mu przeszkadzało. Postanowił zatem, że we wrześniu napisze, z pomocą Eli, list do duchownego. Z salonu dochodziły teraz przytłumione głosy.

Tomasz nalał następnego kieliszek wina ojcu Villeneuve. Kilka kropli spadło na sutannę duchownego. Jurek pobiegł po wilgotną ścierkę.

– Co za pech! Przecież w tej sutannie wyruszam jutro w podróż. Będzie ode mnie czuć winem.

Villeneuve czyścił teraz skrupulatnie przód sutanny.

– Okropne!

– Ale zapachu już nie będzie.

Tomasz śmiał się z przygnębienia swojego przyjaciela, który, o czym dobrze wiedział, dbał o siebie aż do przesady. Duchowny odzyskał wreszcie spokój i teraz, choć z zafrasowaną jeszcze miną, czekał, aż wilgotna plama wyschnie. Villeneuve patrzył na swojego przyjaciela i coraz lepiej pojmował, że Pawulskiego ogarnia lęk. Tomasz nie miał wątpliwości, że Polska zostanie znowu zniewolona przez żołnierzy, którzy w butach wyłożonych końską mierzwą podepczą raz jeszcze jej granice, zrywając traktat wersalski. Tomasz, ceniony profesor historii, odczytywał dobrze terazniejszość poprzez studia nad przeszłością.

– W Manitobie człowiek się dusi od nadmiaru bezkresnych równin. Jak ty, Tomasz, dziś tutaj.

Tomasz spojrział na przyjaciela. Był wzruszony jego współczuciem. Nie podejrzewał, że duchowny, który przybył do Krakowa, ażeby tu opanować język polski, którym posługiwało się coraz więcej jego owieczek przybyłych do Kanady jako imigranci, ma już ochotę miotać przekleństwa jako wyraz swojego buntu wobec szantażu i gróźb Hitlera. Tomasz nie mógł wiedzieć, że przez dwa lata swego pobytu w Krakowie ojciec Villeneuve nie raz żałował, że nosi sutannę... Pragnął bowiem zrozumieć, dlaczego Polacy bronią gołymi rękami ziemi otoczonej drutem kolczastym.

– Jestem absolutnie pewien, że w tym roku rolnicy nie zdążą zebrać plonów – to mówiąc, Tomasz dał wyraz swoim największym obawom.

Zofia wróciła z kuchni, przysiadła i spojrzała na męża zdumiona tą pesymistyczną przepowiednią i zaniepokojona stanowczością jego osądów. Jurek, starszy syn, nadstawił uszu. Czyżby tato chciał powiedzieć, że pan Jacek i on będą pracować w ogrodzie na próżno?

– Wybacz tato, ale nie zgadzam się z tobą. Dziś wieczorem w Jamie Michalikowej rozmawialiśmy o tych sprawach i nawet profesorowie powątpiewali w nieuchronność wybuchu wojny.

Tomasz machnął ręką, słysząc opinię syna, i nalał sobie następny kieliszek wina.

– Wierzcie mi, należy się jej spodziewać ze wszystkich stron. Wszystkie elementy są już na swoim miejscu. Nawet młodzi Niemcy muszą odbywać jednoroczną służbę wojskową dla Rzeszy, pod warunkiem... – tu Tomasz zawiesił głos, przełknął łyk wina i potrząsając głową z niechęcią i niedowierzaniem, dokończył: – Pod warunkiem, że nie są Żydami!

– Mój Boże! Czy ten Hitler jest poważny? Co on ma przeciwko Żydom? Przecież Chrystus był Żydem. W okamgnieniu twarz Villeneuve’a przybrała wyraz przerażenia.

Jurek wzruszył ramionami i dorzucił, że Hitler od dawna szukał zwady z Żydami. Tomasz już nie słuchał. Oparł ręce na udach, zwarł dłonie i zaczął mówić monotonnym głosem, jakby starał się nie rozpraszać swoich myśli:

– Hitler usadowił się już wszędzie po trochu, a od roku szarpie granicę Czechosłowacji. Teraz jest już w Pradze i nikt na to nie reaguje. Polsce przedstawił rodzaj ultimatum: albo rząd polski odda Gdańsk Rzeszy, albo... nie bardzo właśnie wiadomo co. Anglia zaś i Francja, jestem tego pewien, nie doceniają powagi tych żądań. Anglia obiecuje nas bronić, podczas gdy Francja podpisuje z Niemcami traktat o wzajemnym porozumieniu. Rozumiecie mnie?

Jurek patrzył na ojca jak zahipnotyzowany. Oczywiście, nieraz słyszał, jak ojciec dyskutuje, ale tym razem dostrzegł w nim prawdziwego historyka. Villeneuve podnosił swój kieliszek do ust, jednak zatrzymał rękę w połowie tego gestu.

– Francja wierzy w swoje układy z nami, tymczasem Hitler chce samodzielnie kontrolować Europę Środkową! Ja, ojcie

François, jestem krótkowidzem, ale Francja wybrała ślepotę na jedno oko!

Tomasz wstał i zaczął chodzić po pokoju. Jurek po raz pierwszy widział tatę tak wzburzonego. Villeneuve starał się ogarnąć głębię polskiego serca swego przyjaciela. Strach, obawy – owszem, to było dlań zrozumiałe, ale ta odwieczna wrogość zdawała się niepojęta. Zofia zbliżyła się do męża i pogładziła delikatnie jego ramię.

– Zadręczasz się, sam się zadręczasz, Tomaszu. Poczekaj, aż...

Ku zdziwieniu Jurka tato trochę zbyt gwałtownie odsunął rękę Zofii, ale w tej samej chwili, w geście przeprosin, ucałował jej dłoń.

– Nie, nie można już czekać. Nie pojmuję, że ludzie nie dostrzegają w tym niemieckim egocentryku demona, który ma tylko jedno pragnienie: przesadzić wszystkie granice i naznaczyć narody rozpalonym żelazem...

W tym momencie do pokoju wszedł Janek. Mimo że światło lampy było przyćmione, tarł oczy, osłaniając je przed blaskiem. Podszedł do taty i poprosił, żeby mówił trochę ciszej.

– Te twoje słowa, tato, mieszają się z moimi snami i przez to sny nie są takie ładne.

Tomasz, przejęty słowami syna, obiecał ściszyć głos. Zofia natomiast, chcąc się upewnić, czy dziecko zrozumiało sens wypowiedzi ojca, zapytała Janka, co mu się śniło.

– Miałem dwa sny.

– Dwa?

– Tak. W pierwszym śniło mi się, że sadziliśmy już warzywa w ogrodzie w Wężerowie.

Jurek spojrział podejrzliwie na młodszego brata: sen Janka za nadto nawiązywał do tematu rozmowy, żeby można było weń uwierzyć, a jego buzia była zbyt rozbudzona jak na dziecko wyrwane ze snu w środku nocy.



– A w drugim śnie wklejałem piękne czerwone liście, które przysłał mi ojciec Villeneuve.

– Wklejałeś liście?

– Tak, w moim zielniku.

I tu Janek spojrział pytająco na ojca Villeneuve. Ten podsunął palec wskazujący pod nos i stwierdził, że coś takiego nie może się zdarzyć, ponieważ w Manitobie nie ma czerwonych liści.

– Liście mają tam piękne kolory, ale nie są tak czerwone jak liście klonu cukrowego.

Janek, całkowicie już rozbudzony, nie ukrywał rozczarowania. Wyszedł z grymasem niezadowolenia na buzi, obserwując jednak spod oka reakcję zebranych na to jego publiczne wystąpienie. Powróciwszy do swojego pokoju, zostawił drzwi nieco uchylone: chciał dalej słuchać o wojnie, chociaż zupełnie nie wiedział, co o tym sądzić.

– Zofia i ja, podobnie jak pan Porowski, chcielibyśmy utrzymać to małe gospodarstwo w Wężerowie – odezwał się Tomasz, jakby zapominając o swoich poprzednich przewidywaniach. Uśmiechnął się na myśl, że i tym razem pojedą całą rodziną na wieś, żeby siać, grabić i pielic ogród pana Porowskiego. Niestety, ten uśmiech zgasł nagle, gdy Tomasz wyobraził sobie, że bryły tej ziemi mogą wkrótce nabrać woni popiołu.

– Villeneuve, jesteś bardziej wierzący niż niejeden Polak. Mógłbyś mi powiedzieć, do jakiego Boga ty się modlisz? Czy do Boga tego nowego papieża Piusa XII, który nie zdążył jeszcze pobrudzić swoich paradnych trzewików i nie bardzo wiadomo, jakie są jego zamiary polityczne? A może do Boga Polaków, który ich nieustannie opuszcza? Albo Niemców, którym ma dać cały świat w kielichu krwi?

Villeneuve nie znosił takich infantylnych pytań. Wprawiały go one go w zakłopotanie i zmuszały do przedstawiania Boga jako konkretnego wodza w konkretnym mundurze. Nie odpowiedział,

podniósł tylko do ust kieliszek wina. Zofia wyszła do kuchni po następną butelkę, a Jurek, korzystając z ciszy, jaka zapadła, przeprosił zebranych i życząc księdzu szczęśliwej podróży, wymknął się z pokoju.

Tomasz wstał i lekko chwiejnym krokiem podszedł do okna. Trębacz zdołał dotrzeć na ostatnie piętro wieży, ale nie udało mu się, niestety, zagrać poprawnie melodii hejnału.

– Chyba sobie wypił. Zdarza się.

Tomasz poczuł lekki zawrót głowy i przytrzymując się parapetu, wychylił nieco głowę za okno. Patrzył na ulicę Mikołajską. Po prawej stronie widział sylwetkę kościoła, po lewej ulica nieco skręcała, ukazując dalsze domy i kilka niewielkich dzwonnicy. Tomasz oddychał powoli, wciągając głęboko powietrze do płuc.

– Czy ty to wszystko słyszysz, François?

Villeneuve nie zdążył przełknąć wina, uważnie nadśluchiwał odgłosów nocy, wyteżył wzrok, przygryzł język, rozpaczliwie szukając odpowiedzi na pytanie Tomasza. W końcu przełknął łyk wina.

– Tak, tak, Tomaszu. Wiem, że nigdy nie znajdę odpowiedzi, która mogłaby cię zadowolić.

Tomasz roześmiał się, wzruszył ramionami i z uniesionymi brwiami oraz ironicznym uśmiechem na ustach spojrział na przyjaciela.

– Rozczarowałeś mnie. Od dwudziestu lat nie było słyhać na polskich ulicach i placach czegoś tak oczywistego jak teraz. Posłuchaj uważnie...

Villeneuve zbliżył się do ramy okiennej i pomimo wysiłków, jakie czynił, nie udało mu się usłyszeć nic poza nieregularnym hałasem pojazdów, dalekim sygnałem pogotowia, stłumionymi krokami przechodnia, kaszlem sąsiada, kwileniem dziecka czy bulgotem wody w rurach budynku. Nic. Nie było słyhać nawet trębacza z kościoła Mariackiego, który najprawdopodobniej

przysnął, zanim obwieścił pierwszą godzinę soboty 24 czerwca. Duchownemu przyszło jednak nieoczekiwanie na myśl, że być może jego przyjaciel miał na myśli odgłosy lata i ośmielony tym odkryciem, chciał już zaproponować tę odpowiedź, kiedy Tomasz sam sobie odpowiedział.

– Ten pomruk, François, ten pomruk. On jest ukryty w głowach. I wiem, że każdy Polak karmi go swoim oddechem. Polskie dusze przeczuwają, François, że armaty zaatakują wkrótce ich ciała.

Tomasz odszedł od okna, usiadł przy stole. Raz jeszcze napełnił winem kieliszek, przyglądał mu się długo w świetle lampy, zanim przełknął, bez widocznego zadowolenia.

– Tak, tak, François, polskie dusze wiedzą o tym i szykują się już do opuszczenia swoich ciał... lub swego kraju. Hm, gdybym był młodszy, kto wie, może bym zaprosił tę moją na pobyt gdzieś indziej.

Przez kilka sekund Villeneuve rozważał słowa przyjaciela i dostrzegął ukryty w nich ból. Wychylił głowę przez okno, też chciał rozpoznać ten pomruk wieszczący śmierć. W końcu odwrócił się w stronę salonu, długo patrzył na Tomasza i Zofię, po czym zaproponował im opuszczenie kraju za pośrednictwem kanadyjskich ojców oblatów.

Tomasz zdjął okulary, przetarł energicznie i odłożył ze spokojem.

– Nie, François, dziękuję. Zostanę tu i stąd będę patrzył na te nadlatujące krwiożercze pociski.

Zofia spojrzała badawczo na męża. Zrozumiała, że właśnie podjął decyzję, że się nigdzie stąd nie ruszy bez względu na to, co przyniesie przyszłość. Pozostanie tutaj, skrywając swoje odczucia za tymi ochronnymi okularami. Wada wzroku uchroniła go od poboru do wojska, jednakże jego oczy pozbawione tych grubych szkieł stawały się niezmiernie wrażliwe. Zofia wiedziała, że te oczy, choć nie są w stanie dojrzeć położenia wskazówek zegarka,

doskonale odczytywały drgania wahadła zegara Historii. Znała dobrze te czułe oczy, wierne odbicie jego serca, i pokochała je od chwili, kiedy Tomasz wtulił się ufnie w jej ramiona, niczym małe ślepe zwierzątko, uniesiony rozkoszą nocy poślubnej.

Trębacz kościelny, wyrwany z drzemki, sfalszował pierwsze nuty melodii. Tomasz i François wybuchnęli śmiechem. Ojciec Villeneuve postanowił wrócić do siebie. Chciał przespać się jeszcze parę godzin i dopakować walizkę, zanim wyruszy na dworzec kolejowy z nadzieją, że pociąg nie będzie spóźniony. Wyglądał teraz swoją sutannę energicznymi i głośnymi uderzeniami dłoni o tkaninę. Tomasz dał mu znak wzrokiem, żeby nie obudził Zofii, która przysnęła na tapczanie, po czym objął duchownego ramieniem. Dwaj starsi mężczyźni, zmęczeni już nieco życiową marszrutą, skierowali się do drzwi wyjściowych. Skrzypienie podłogi poderwało Zofię na równe nogi. Spiesznie nadbiegła.

– Mam nadzieję, François, że odnajdziesz swój kraj takim, jakim go opuściłeś. I wiem niestety, że nigdy już nie ujrzysz takiej Polski, jaką tu poznałeś.

Zofia popatrzyła na smutne twarze obu mężczyzn i oddaliła się do pokoiów Janka i Eli. Dzieci były pogrążone w głębokim śnie. Poprawiła kołdry, potem przysiadła obok śpiącej Eli, której jasne włosy połyskiwały teraz w świetle księżyca przebijającego się przez chmury. Nagle przypomniała sobie o życzeniu Villeneuve'a, pospieszyła do kuchni i przyniosła stamtąd dwie książki kucharskie. Wręczyła je duchownemu, a ten przycisnął je do serca niczym cenny modlitewnik.

- Nie zobaczymy się już więcej, François...
- Kto to wie...
- Przecież nie przyjedziesz tu, żeby powiedzieć pewnemu Polakowi, że nie potrafi rozpoznać złowieszczego pomruku dział.
- Przyjadę w przyszłym roku...

– Nie sędzę.

Tomasz nerwowym gestem umieścił okulary na nosie. Starał się robić dobrą minę, patrzył na swego przyjaciela, próbował się uśmiechać, ale reszta jego ciała jakby zastygła w bezruchu. Ostatecznie padł w ramiona Villeneuve'a, które duchowny otworzył z pewną nieporadnością, jakby w liturgicznym geście *Ite missa est*.

– Uściśnij twój smutny polski przyjacielu i jedź odychać powietrzem twoich kanadyjskich równin.

Villeneuve wyszedł, nie odwrócił się. Tomasz wyciągnął chusteczkę i zaczął wycierać okulary. Kiedy kroki duchownego ucichły na schodach, zamknął powoli drzwi, spojrzął jeszcze przez okno na nienicką szarą sylwetkę Villeneuve'a, po czym zwrócił się do Zofii, która – jak to odgadywał – czekała nań, wiedząc, że tylko we dwoje mogą ukończyć ten smutek zanim pierwsze promienie słońca zawirują radośnie na deskach podłogi. Powoli i spokojnie starali się uchwycić tę złudną przyszłość, wtulając się w siebie aż do pełnego zespolenia.

## 2

Chcąc zwrócić na siebie uwagę starszego brata, Janek uwijał się przy zrywaniu pomidorów. Jurek, obserwując go zgiętego wpół i zasapanego, musiał przyznać, że jego młodszy dziesięcioletni braciszek jest bardzo dzielny. Jak tylko obrobił jedną grządkę, zabierał się za drugą, zerkając przy tym w stronę starszego brata, czy ten aby nadal go obserwuje. Tę strategię zauważył Tomasz i z uśmiechem odezwał się do Porowskiego:

– Janek pozostaje pod ogromnym wrażeniem Jurka. Pytał mnie nawet, czy Jurek jest nadal jego bratem, czy może został już wujkiem, skoro zaczęła mu rosnać broda, a głos stał się grubszy.

Porowski roześmiał się. W tym momencie z domu wyszła Ela i pobiegła w stronę Janka.

– Teraz ty. Ja już skończyłam swoje ćwiczenia.

Janek westchnął, wyprostował się powoli, dając do zrozumienia, że konieczność przzerwania pracy martwi go w najwyższym stopniu, otarł pobrudzone kolana i wręczył Eli swój kosz.

– Pamiętaj, że trzeba je układać jak jajka.

– Wiem, wiem, Janku.

Janek skierował kroki w stronę domu, a kiedy upewnił się, że już nikt go nie widzi, skrzywił się w grymasie bólu, wyprostował ramiona, rozcierał je przez chwilę, po czym zaczął masować pośladki i łydki. Wszedł po cichutku do domu, ale zamiast wziąć do ręki skrzypce, wybrał swój zielnik. Od momentu przyjazdu do Wężerowa, czyli od wczoraj, założył już cały nowy dział liści warzyw i owoców. Spojrzał jeszcze przez okno, uchwycił mocno sznureczek od zielnika i nagle zapadł w sen, siedząc na fotelu, z zielnikiem na kolanach. W tej nieco zawstydzającej pozycji obudziły go jakieś śmiechy. Zerwał się z fotela i pobiegł do swojego pokoju, gdzie z powrotem zasnął. Nikt nie przyszedł obudzić go na kolację.

Był wczesny wieczór, Ela wykonywała solo na skrzypcach w obecności pana Porowskiego, który nie ukrywał swojego zachwyty.

– Wkrótce twoja mama będzie musiała się rumienić.

– A dlaczego ma się rumienić?

– Bo nie będzie już mogła ukrywać swojej dumy.

Jurek skrzywił się niezadowolony, chociaż dobrze wiedział, że siostra jest bardziej utalentowana.

Wkrótce wszyscy poszli spać. Nazajutrz rano Jurek swoim zwyczajem poszedł do ogrodu pograć na skrzypcach. Wrócił do domu uradowany, że pogoda ciągle taka ładna, ale tu natknął się na ojca, którego twarz wyrażała zaniepokojenie. Radio było włączone,

spiker oznajmił, że Liga Narodów nie podziela obaw co do Gdańska. Jej rzecznik dodał, że polskie problemy polityczne nie mają znaczenia międzynarodowego. Jurek przysiadł przy ojcu.

- Co to znaczy, tato?
- Że jesteśmy niewielkim krajem.

Tomasz nie powiedział już nic więcej, nałożył sobie jedzenie na talerz, po nim zrobili to dzieci, Janek i Ela. Po śniadaniu wszyscy udali się do ogrodu, a pani Porowska przygotowywała w tym czasie torby z zapasami, które zawiozą Zofii.

Jurek zagłębił ręce w ziemi. Pamiętał, że jest to ziemia kraju słabo strzeżonego i że on jest gotów jej bronić. Tomasz patrzył z lękiem na syna. Niedobre myśli kłębiły się w ojcowskiej głowie. Chwytał pęczek marchwi i pokazał go synowi, dodając, że ta ziemia również ich wszystkich żywi. W pobliżu stał Porowski, nie odzywał się, urzeczony chyba wielkością dorodnych cebuli.

Porowski towarzyszył Tomaszowi i dzieciom w drodze na stację kolejową. Jurek pozostał w gospodarstwie. Janek i Ela drzemały teraz skuleni na dworcowej ławce. Obaj mężczyźni pospiesznie i jakby ukradkiem wymieniali swoje myśli, po czym zamilkli, analizując w ciszy nurtujący ich wątek, a także żywiąc nadzieję, że Jurek będzie mógł dostarczyć pozostałe produkty.

Nadjechał pociąg, napełniając powietrze zapachem węgla i gorącej pary. Koła ślizgały się po szynach z przenikliwym zgrzytem. Obudzone dzieci z rozespanymi oczami wsiadały do pociągu. Ela dźwigała skrzypce, Janek dwa kosze warzyw. Tomasz poklepał Porowskiego po plecach, ucisnął, a potem dźwignął z ziemi jutowe worki wypełnione po brzegi. Porowski stał na peronie i długo patrzył, jak jego przyjaciel niknie w kłębach dymu spowijającego wagony.

W słabym świetle latarni umieszczonych wzdłuż linii kolejowej Tomasz rozpoznawał miejscowości. Potem pochylił się nad

swoimi dokumentami, ale zaprzętała go wyłącznie myśl o politykach, których historia niczego nie nauczyła. Za oknem księżyc zza chmur oświetlał pola i osiedla. W pewnej chwili niebo się rozjaśniło i Tomasz rozpoznał światła Krakowa. Obudził Elę, a ona potrząsnęła Jankiem. Pociąg posuwał się teraz wolniej, wzdłuż peronu. Wyszli z dworca, zdołali jeszcze złapać ostatni tramwaj.

Zofia usłyszała, jak wchodzi po schodach, i odetchnęła z ulgą. Gdyby mogła, pojechałaby pociągiem do nich, do Wężerowa. No tak, powinna była napisać list do Jurka i wytłumaczyć swoją nieobecność. Tomasz otworzył drzwi przepuścił Janka, któremu spieszno było do toalety, a sam wraz z Elą skierowali się do kuchni, żeby rozlokować przywiezione zapasy warzyw.

- No, no, widzę, że zbiory zapowiadają się znakomicie.
- Zapowiadają... Ale nigdy nic nie wiadomo.

Zofia lekko wyduła wargi. Od czasu wyjazdu ojca Villeneuve'a Tomasz nieustannie analizował wszelkie doniesienia prasowe i wszystkie deklaracje, o których się dowiedział, poszukując powiązań między pozycją Hitlera na międzynarodowej szachownicy a zagrożeniem ataku na Polskę. Zofia miała nadzieję, że te dwa dni spędzone w Wężerowie dadzą mężowi trochę wytchnienia. Ale jak widać nie doceniała w pełni obaw Tomasza.

Janek i Ela pobiegli do swoich pokojów, a Zofia zaprosiła Tomasza do salonu.

- Chciałam z tobą porozmawiać, Tomaszu.

Tomasz poczuł się nieswojo. W głosie Zofii można było wy-czuć jakąś niepewność. Usiadł więc przed nią i słysząc, jak z trudem dobiera słowa, uśmiechnął się do niej tym swoim uśmiechem, któremu nigdy nie potrafiła się oprzeć.

- Byłam wczoraj u lekarza, Tomaszu. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to w przyszłym roku będziemy mieli dzidziusia.



Tomasz otworzył usta, ściągnął okulary i chwycił się rękami za głowę. Patrząc na niego, Zofia wstrzymała oddech. Uśmiech znikł całkowicie z jego oblicza, miała wrażenie, że szlocha. Podeszła do niego, przykucnęła i zaczęła gładzić ręką jego głowę, jakby chciała ukoić ten ból, który najwidoczniej teraz odczuwał.

– Tomaszu, nic nie powiesz?

Podniósł głowę. Zofia nie wierzyła własnym oczom. Po raz pierwszy Tomasz Pawulski sprawiał wrażenie starego człowieka.

– Tomaszu...

– Zofio, przecież ty będziesz miała wkrótce czterdzieści lat...

– A ty pięćdziesiąt.

Tomasz poruszył głową z niedowierzaniem. Gdyby Zofia mogła usłyszeć jego myśli, wiedziałaby, że cierpi straszliwie, przewidyując, że to dziecko najprawdopodobniej nie będzie miało rodziny, kraju, a może i straci życie.

### 3

Ranek 30 sierpnia 1939 roku był równie senny jak wszystkie inne, aż do chwili gdy nieśmiałe słońce pojawiło się na linii horyzontu. Jurek wstał, ogolił się pośpiesznie i wyszedł z domu, niosąc skrzypce pod pachą. Od kiedy skończył dwanaście lat, lato było jego ulubioną porą roku. Wtedy woń ziemi zastępowała zapach książek, papieru i ulic Krakowa. Bardzo lubił akompaniować swoją poranną muzyką odgłosom pól, ćwiczyć zwinność palców, wzbogacać dźwięki instrumentu, dorzucać jakiś nowy element do swego repertuaru. A po powrocie mógł ten dorobek zaprezentować rodzicom jako podziękowanie za to, że zawsze pozwalali mu cieszyć się rolą takiego sezonowego ogrodnika.

Tego właśnie poranka, kiedy Jurek rozkoszował się swoim instrumentem, pojawił się nieoczekiwanie pan Porowski. Zbliżył się, polecił chłopcu odłożyć skrzypce i uklęknąć razem z nim na ziemi. Zaniepokojony Jurek pomyślał, że Porowski otrzymał jakąś niedobłą wiadomość i chce się pomodlić. Ale tu, na tym kartoflisku... Potem Porowski oświadczył, że trzeba jak najprędzej wykopać ziemniaki, które jeszcze pozostały. Miał zaciśniętą szczękę, Jurkowi wydawało się, że słyszy zgrzytanie jego zębów.

W gnieniu oka sielankowy nastrój gdzieś się ulotnił. Jurek poczuł drżenie na całym ciele, od brzucha aż po klatkę piersiową, dławilo go w gardle, nie poznawał swego oddechu. Drżały mu ręce, drżał głos.

– Czyżby Hitler...

– Jeszcze nie. Ale musisz koniecznie dziś wyjechać. Mówi się o powszechnej mobilizacji. Jaka szkoda, że ta kapusta jeszcze nie dojrzała! – westchnął Porowski.

Zaledwie Jurek zdołał napełnić warzywami jutowe worki, Porowski podstawił mu rower i nakazał wracać do Krakowa. W obliczu paniki, jaka ogarnęła ludzi, na transport publiczny nie można było liczyć. Jurek pedałowal co tchu przez wiele godzin, miał wrażenie, jakby był sprzedawcą kiełbasek uciekającym przed sforą psów. Usiłował pojąć, co mogło się wydarzyć. Bardzo brakowało mu teraz ojca, który mógłby wyjaśnić, skąd to szaleństwo i strach. Ludzie, których mijał po drodze, powtarzali to samo:

– Wracaj, chłopcze do domu. Hitler jest już blisko posterunków granicznych.

Jurek wpadł w przerażenie. Pedałowal z coraz większą energią pomimo bólu łydek i ścięgien. Ręce, jakby sparaliżowane, zaciskał na kierownicy. Nagle rower podskoczył. Jurek stracił panowanie nad kierownicą i upadł, raniąc sobie prawą stronę twarzy na drodze wysypanej żwirem. Podniósł się pospiesznie i zobaczył, że opona została wyrwana z obręczy koła. Ukrył rower za krzakami,

musiał też pozostawić tu większość produktów. Napchał kieszenie, umocował na plecach co się dało, wykorzystał nawet szprychy rowerowe, nadziejając na nie ogonki buraków i cebuli. Z dużym wysiłkiem przemierzał ostatnie kilometry dzielące go od Krakowa i od domu.

Wreszcie otworzył drzwi wejściowe do holu kamienicy i przeszedł przed stróżówką pani Grabskiej, ta zaś ujrawszy jego poranioną twarz, wybiegła i wykrzyknęła:

– Rety, musisz jak najszybciej obmyć twarz! Co ci się, biedaku, przydarzyło?

Chwyliła jego worek i pobiegła przodem. Zapukała do drzwi Pawulskich. Tomasz otworzył i ujrawszy syna, padł w jego ramiona, już i tak dostatecznie obciążone.

– Okropnie się bałem, żeby cię nie zatrzymano w drodze.

– Jedyne, co mogłoby mnie zatrzymać, tato, to łańcuch od roweru pana Porowskiego.

Pani Grabska postawiła przyniesiony worek na podłodze i wyszła. Tomasz z pomocą Janka pomagali Jurkowi opróżnić kieszenie, nie pozostawiając ani jednej łuski od cebuli.

– To wszystko, co zdołałem przydźwigać. Na szczęście przywieźliśmy trochę warzyw w poprzednim miesiącu.

W tym momencie dołączyła do nich Zofia, z brzuszkiem zaokrąglonym czteromiesięczną ciążą. Ucałowała Jurka, przyjrawszy się przedtem uważnie jego poranionej twarzy. Jurek nie miał odwagi spojrzeć na trochę już zmienioną sylwetkę matki. Oczywiście otrzymał list, w którym mama informowała go o swoim stanie, ale widząc teraz jej zaokrąglone kształty, niczym młodej kobiety, uświadomił sobie, że ona i jego ojciec robili jeszcze te rzeczy...

– Jurku, idź umyć twarz, żeby nie wdało się zakażenie.

Jurek powrócił z dwoma plastrami na policzku i wreszcie odważył się spojrzeć na mamę. Jak każdemu dziecku, wydawała się zawsze piękna. Ale teraz, musiał to przyznać, jej oblicze było

jeszcze bardziej promienne, w przeciwieństwie do ojca, którego skronie coraz mocniej naznaczała siwizna.

– Będziemy mogli pójść pieszo po resztę warzyw. Ukryłem je jakąś godzinę drogi stąd.

– Syty zapomina o wrogu...

Zofia nie zdołała jednak dokończyć zdania, kiedy Tomasz dał jej znak, żeby zamilkła. Była zdziwiona, że jest taki ostrożny we własnym domu.

– Przecież możemy chyba u siebie rozmawiać swobodnie...

– Już nie, Zofio. Musimy nauczyć się milczeć, raczej zgadywać nasze myśli i działać.

Tomasz wszedł do sypialni i wyciągnął się przy Zofii. Zasypiała już, leżąc na plecach z dłońmi założonymi na brzuchu. Tomasz pogładził ją leciutko, Zofia odwróciła się ku niemu i wyszeptwała, że z wielką ulgą przyjęła powrót Jurka do domu i że mogliby jutro wybrać się po resztę produktów, które Janek ukrył w krzakach. Tomasz westchnął.

– Jutro muszę wysłać telegram do ojca François i prosić go, żeby odebrał dzieci w Kanadzie.

– Co takiego?

Zofia przewyciężyła senność i oświadczyła, że nie ma mowy o rozstaniu z dziećmi.

– Nawet o tym nie myśl, Tomaszu! Sam twierdziłeś niedawno, że chcesz tu pozostać. Jurek ma dopiero siedemnaście lat, a ty chcesz mu powierzyć odpowiedzialność za Elżbietę i Janka?

– Jurek jest już mężczyzną, Zofio.

– Spokojnie, Tomaszu, wróc na ziemię... Mają opuścić Polskę i jechać do Kanady? Sami?

– Tak, Zofio, zupełnie dobrze to sobie wyobrażam.

Tomasz podniósł się, zapalił lampę i założył okulary. Zobaczył, że Zofia tłumi szloch, a łzy spływają jej po policzkach.

Kiedy trębacz wygrywał ostatnią godzinę 31 sierpnia, zmęczenie brało górę. Gdy jednak zabrzmiał hejnał o czwartej rano dnia następnego, oboje jeszcze nie spali.

– A jeżeli wojna nie wybuchnie, Tomaszu?

– Wierz mi, najdalej do Bożego Narodzenia cała Europa po-  
grąży się w wojnie.

– Żeby bronić Polski?

– Zofio, nie wracajmy już do tego tematu.

– A co z dzieckiem?

– Zofio...

Zofia, z oczami napuchniętymi od płaczu i zmęczenia, skapi-  
tulowała. Tomasz przekonał ją, że dzieci powinny rozpocząć nowy  
rok szkolny już w Kanadzie. „Przecież to będzie po prostu szkoła  
z internatem” – stwierdził.

– Wyślesz dzisiaj telegram?

– Tak, Zofio.

Zofia przytuliła się do Tomasza, wiedziała, że musi mu za-  
ufać, ale prosiła gorąco Boga, tak jak Chrystus w Ogrójcu, żeby  
zechciał odsunąć od niej ten kielich. Zasnęła w objęciach męża,  
który pochrapywał od czasu do czasu, wydając przy tym krótkie,  
urywane pomruki. Zanim trębacz zagrał hejnał na godzinę pią-  
tą rano, granice państwa polskiego zostały przerwane, a niemiec-  
kie buciory podeptały zagony kapusty, której Polacy nie zdążyli  
już zebrać z pól.

## 4

Drzwi uderzyły w ścianę z takim impetem, że Tomasz podsko-  
czył, przekonany, że to chyba oddział wojska zaatakował kamie-  
nicę. A to Janek z wylęknioną twarzą wpadł do swego pokoju.

Zaniepokojony Tomasz pobiegł za nim. Janek, leżąc na podłodze, wyciągał spod łóżka rozmaite przedmioty. Ostatnim był zielnik.

- Czego tam szukasz, Janku?
- Starej książki, którą mi kiedyś dałeś.
- Starej książki?
- Tak, z czasów twoich studiów, a wykłady miałeś wtedy po niemiecku.

Tomasz usiłował wyciągnąć Janka spod łóżka, ale ten wymknął mu się i podbiegł do szafy. Otworzył jej drzwi i zaczął tam swoje poszukiwania, aż w końcu Tomasz usłyszał okrzyk radości.

- Widzisz, widzisz, nie wyrzuciłem jej!

Tomasz wyrwał mu książkę i zaczął nerwowo przrzucac kartki.

- Muszę nauczyć się niemieckiego, bo oni właśnie weszli do miasta. Wszędzie pełno żołnierzy.

Zaszokowany, Tomasz potrzebował kilku minut, by ta wiadomość do niego dotarła. Potem podbiegł do okna w salonie. Odgłos marszowych kroków i szczęk broni potwierdzały słowa syna. Janek się nie mylił. Tomasz zaczął mimowolnie drżeć. Miał nawet ochotę pobiec za maszerującymi, żeby zobaczyć, dokąd idą, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Z lęku – wiedział bowiem, co się dzieje w okupowanych miastach – czy z ulgi, że bomby oszczędziły Kraków? W końcu, kiedy już złapał oddech i odzyskał władzę w nogach, zabronił Jankowi wychodzić z domu, a sam poszedł na poszukiwanie trójki pozostałych domowników. Wiedział, że Zofia z Elą powinny być gdzieś przy Rynku Głównym, a Jurk – o ile nie obserwował na ulicach maszerujących żołnierzy – w Jamie Michalikowej. Zaledwie jednak Tomasz wyszedł z kamienicy, ujrzał nadbiegającego Jurka.

- Niemcy zajmują Wawel.
- Nic dziwnego. Cóż znajdą lepszego niż ten zamek?

Teraz Tomasz polecił Jurkowi, aby odnalazł matkę i siostrę, sam zaś wrócił do mieszkania, zadowolony, że nie musi pozosta-

wiać Janka samego w domu. Zastał synka z głową wychyloną przez okno; Janek liczył Niemców, których udało mu się dostrzec. Tomasz nakazał mu cofnąć głowę i zamknąć okno.

– Od dzisiaj, Janku, nie wolno ci robić niczego, co mogłoby zwrócić na ciebie uwagę. Słyszysz?

– Ależ ja nic takiego nie zrobiłem, tato. Zobaczyłem ich, wychodząc ze szkoły.

– Tak, tak, rozumiem, ale musisz nauczyć się wyglądać tak jak mur, brama czy ławka w parku. Rozumiesz?

Janek przestraszył się. Wyczuwał, że ojciec jest bardzo zdenerwowany tym wkroczeniem Niemców do miasta. Sam zaś był bardzo ciekaw, czy żołnierze będą strzelać z tych swoich karabinów maszynowych.

– Posłuchaj, Janku. Ja nie żartuję. To dziwne, że szkoła nie została zamknięta. Pamiętaj, że masz chodzić po ulicy powoli i nie gadać głośno. Milczenie rzadko zwraca uwagę.

Tata miał tak poważną minę, że Janek już nie protestował. Obiecał, że postara się być tak dorosły jak Jurek.

– Nie ma pośpiechu, bądź po prostu rozsądny.

Ulice Krakowa paraliżowały nieufność i lęk. Mieszkańcy miasta każdego dnia spodziewali się ataku, który jednak nie następował. Tomasz, podobnie jak inni profesorowie „sławnego Uniwersytetu Jagiellońskiego”, natrafił na zaryglowaną bramę uczelni. Bardzo go to zirytowało. Nalegał na dziekana, aby ten z kolei nakłonił rektora do podjęcia jakichś działań. Taki uznany uniwersytet nie powinien milczeć.

Tomasz zdołał już nieco ochłonąć, kiedy do domu wrócił Jurek. Wyraz twarzy syna wzbudził w Tomaszu podejrzenia.

– Co robiłeś?

– Nic.

Tomasz przyglądał się badawczo synowi, który z trudem wytrzymywał ojcowskie spojrzenie. Jurek usiadł więc i oznajmił, bez najmniejszego wahania w głosie, że ma zamiar wyruszyć za oddziałami polskimi, które zmierzają na zachód, żeby odeprzeć Niemców.

- Chyba straciłeś rozum?
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Wyruszać na front w wieku siedemnastu lat?
- Tato, nie wyruszam na front, będę maszerował za wojskiem.
- I sądzisz, że pociskom robi to różnicę?

Widząc, że ojciec nie rozumie jego patriotycznych uczuć, Jurek poszedł do swojego pokoju, ale Tomasz pospieszył za nim.

- Jurku, zabraniam ci realizować taki niebezpieczny pomysł.
- To nie jest niebezpieczny pomysł.
- Nie? Czy zdajesz sobie sprawę, co się dzieje?
- Jak najbardziej. Polska potrzebuje wszystkich ludzi.
- Nie, Jurku. Zgłosiło się bardzo wielu rezerwistów i armia ma kłopoty z ich wyekwipowaniem i wyżywieniem. Cywile przejmują broń po tych, co zginęli, i bez żadnej wiedzy, jak się nią posługiwać i na czym polega dowodzenie w wojsku, chcą pokonać wroga. To oni giną, Jurku.

- Tato, z całym szacunkiem, myślę, że to tylko twój punkt widzenia.

Tomasz, zbity z tropu reakcją syna, nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Wyruszam dziś wieczór, tato.

Tomasz, rozsierdzony, wycofał się do salonu. Zofia, która przed chwilą wróciła do domu, spojrzała na twarz męża i mocno pobladła. Zorientowała się, że tylko coś niezwykle poważnego mogło doprowadzić jej męża do takiego stanu. Zaniósła do kuchni zakupione produkty i powróciła do salonu. Patrząc, jak energicznie Tomasz wyciera okulary, przestraszyła się, że szkła mogą zaraz pęknąć. Usłyszała hałas dochodzący z pokoju Jurka i domyśliła się,



że fatalny nastrój ojca musi mieć związek z jego starszym synem, więc weszła do jego pokoju. Dostrzegła leżący na podłodze żołnierski tornister. Jurek spojrział na mamę i z trudem powstrzymał szloch. Nie chciał jej martwić.

– Tata jest wściekły.

– Możliwe.

– Nie rozumiem. Przecież to on powtarza ciągle, że nasza ojczyzna jest bezustannie w stanie zamętu; to rozciąga się ją, to znowu zwęża, raz dusi, a raz odbudowuje, a kiedy już się wydaje, że wszystko powraca do normy, zaczyna się ją rozwalać od nowa. Moi przyjaciele, i ja z nimi, chcemy mieć takie miejsce na ziemi, gdzie moglibyśmy postawić stopy. I utworzyć ze swoich ciał taką tarczę przeciwko najeźdźcom...

Zofia położyła palec na ustach syna. Nie chciała słuchać, jak mówi o tym wojennym szaleństwie. Dość niezręcznie usiłowała mu wyjaśnić, że zarówno w obronie, jak i w natarciu muszą zachowywać wielką ostrożność. Podczas kiedy starała się ostudzić zapał syna, Tomasz wyszedł z mieszkania. Zaniepokoiło to Zofię, nic jednak nie powiedziała, tylko zaczęła przekonywać Jurka, że nie powinien opuszczać domu, zanim nie zje, po raz ostatni, posiłku razem z bratem i siostrą. Jerzy uległ prośbie mamy.

– Jurku, nie chciałabym, żebyś już teraz spoczął w łonie polskiej ziemi – ciągnęła Zofia, gładząc ramię Jurka. – Ani w żadnej innej. Nie czas na to. Bóg powierzył mężczyźnie dwa kobiece łona: matki, która go rodzi, i żony, żeby zasiał w nim nowe życie.

Zofia uchwyciła rękę swego starszego syna i położyła ją na swoim, wydatnym już, brzuchu. Jurek, obawiając się, że może wybuchnąć szlochem, przycisnął mocno dłoń do ust.

Podczas kolacji panowała przygnębiająca atmosfera. Tomasz skubnął coś z talerza, po czym odepchnął go gwałtownie, oświadczając, że nie jest głodny. Jego zachowanie wprowadziło rodzinę, a zwłaszcza Zofię, w ponury nastrój. Wiedziała, że

Jurek nie zmieni zamiaru i podobnie jak Tomasz była przekonana, że syn działa na swoją zgubę. Pragnęła jednak, aby rozstał się z nimi we względnym spokoju i miała żal do Tomasza za te jego grymasy.

Janek i Ela spoglądali na siebie, świadomi, że dzieje się coś bardzo poważnego. Ela odczuwała lęk przed ojcem, nigdy dotąd nie był tak oschły i stanowczy. Janek czynił nadzwyczajne wysiłki, żeby jeść cichutko, odkładał sztucce bardzo ostrożnie i starał się zuć powoli. Zofia próbowała uczynić atmosferę nieco lżejszą, opowiadając o dzieciaczkę, który kopie ją od wewnątrz. Ale nikt jej nie słuchał, a najmniej chyba Tomasz, który nie lubił zresztą, kiedy mówiła o swoim stanie z taką swobodą. Wobec tego Zofia zaproponowała wieczór muzyczny, ale Tomasz i Jurek temu się sprzeciwili, ku ogromnemu zdziwieniu trójki pozostałych. Ostatecznie Ela zamknęła się w swoim pokoju i grała na skrzypcach, a Janek zabrał się do przeglądania zielnika. Oboje nie rozumie li tej przytłaczającej atmosfery, jaka zapanowała w domu. Potem Zofia zabrała się za porządki w kuchni, a Tomasz zasiadł z gazetą w salonie. Udawał, że czyta, ale naprawdę przysłuchiwał się wyłącznie odgłosom dochodzącym z pokoju Jurka. Zofia powróciła z kuchni, usiadła, skrzyżowała dłonie na brzuchu, twarz miała bladą, bez wyrazu. Dochodziła dziesiąta, kiedy w domu zapanowała cisza. Tomasz podniósł się i na palcach podszedł do pokoju Jurka. Odetchnął z ulgą, widząc, że światło w pokoju już zgaszone. Powrócił do salonu i usiłował, choć z trudem, przekonać Zofię, że w sercu ich syna zagościł, widać, spokój. Wreszcie położyli się spać, każde ze swojej strony łóżka, ale tylko udawali, że śpią. Tomasz miał nadzieję, że jego starszy syn ustąpił wobec ojcowskiego autorytetu, Zofia zaś gładziła swój brzuch, starając się wiązać nadzieję raczej z przyszłością, aniżeli z przerażającą terażniejszością.

Jurek wstał i po cichutku, w skarpetkach, wysliznął się na korytarz. Otworzył drzwi do pokoju Eli i po omacku zbliżył się do jej łóżka. Potrącił ją lekko, żeby się obudziła, i wyszeptał, że wyrusza na front. Ela zaczęła bezgłośnie płakać, teraz dopiero zrozumiała rozpacz rodziców.

– Powiniennem wrócić na Boże Narodzenie. Obiecuj mi, że od czasu do czasu będziesz grała na moich skrzypcach, nie chcę, żeby drewno zanadto wyschło.

Ela zawisła u jego szyi i Jurek z trudem zdołał się wyzwoić z jej uścisku.

Potem poszedł obudzić Janka. Obejmując młodszego brata, powstrzymywał łzy. Nieoczekiwanie odczuł cały ciężar swojej decyzji i pomyślał, że on sam chciałby teraz znaleźć ukojenie w ramionach starszego brata, który mógłby rozświetlić kręte i znojne drogi, które właśnie wybrał.

W pewnej chwili Tomasz i Zofia usłyszeli szcęk klamki, a potem jakiś ruch na klatce schodowej. Tomasz chciał wstać, ale Zofia go zatrzymała. Przymknęła oczy, wstrzymała oddech, nadśluchiwała. Tomasz odczekał kilka minut, po czym podszedł do okna w salonie. Otworzył je, wychylił głowę, ale nie dostrzegając niczego, skierował kroki ku oknom wychodzącym na podwórze. Zobaczył Jurka, który napełniał ziemią mały woreczek. Nie miał już wątpliwości, że jego syn opuszcza Kraków. Tomasz oparł się pokusie otworzenia okna i pozostał ukryty za grubą firanką. Miał ochotę prosić, błagać Jurka, żeby wrócił, ale rozpacz i strach paraliżowały jego wolę. Jurek wszedł tymczasem do korytarza na parterze kamienicy, więc Tomasz pospieszył znowu do okna w salonie. Zofia już tam stała. Patrzyli teraz oboje, jak pojawia się przed domem, jak idzie cichcem i jakby ukradkiem, zanim zniknął gdzieś w okolicy Plant.

– Powiniennem powiedzieć mojemu synowi, że życie trzeba mieć zawsze przed sobą, a nie za sobą... Och, Zofio, cały drzę...

Zofia patrzyła, jak Tomasz płacze. Słowa były niepotrzebne. Oboje mieli pewność, że widzą syna po raz ostatni.

## 5

Tomasz zawzięcie szukał jakiejś stacji w odbiorniku, kiedy nagle poprzez trzaski i szumy usłyszał donośny głos informujący, że Sowieci zaatakowali Polskę od wschodu. Zamknął oczy i chwycił się za serce, przerażony myślą, że Jurek mógł stać się częścią tej „rzeźni”, w której zaopatrywali się Sowieci. Po chwili poszedł obwieścić nowinę Zofii.

– Jeszcze trochę i nie będziemy żyli w kraju, tylko w przetaku.

Tomasz zdawał sobie sprawę, że Zofia nie chce mówić o Jerzym. Cała rodzina z trudem dochodziła do siebie po szoku związanym z jego odejściem z domu.

– Zofio, przecież możesz mówić o swoim smutku. Jesteśmy i tak w lepszej sytuacji niż rodziny, które już pochowały swoich synów.

– Tak myślisz?

Tak jak mieszkańcy Krakowa, którzy milcząco postanowili nie sprzeciwiać się najeźdźcom, chcąc uniknąć bombardowania miasta, Zofia spojrzała na Tomasza bez gniewu, jak i uległości. Tomasz miał nadzieję, że się myli, odgadując w jej wzroku urazę.

W tym momencie Tomasz usłyszał, że pani Grabska zastukała trzy razy w swój sufit. Oznaczało to, że ktoś idzie do Pawulskich. Już po raz drugi od wkroczenia wroga do Krakowa Tomasz zamykał się w swoim gabinecie – między salonem a pokojem „muzycznym” Zofii – z kolegami z Uniwersytetu, żeby razem szukać jakiejś możliwości otwarcia tej szacownej uczelni. Podczas tych

spotkań Zofia starała się odwrócić uwagę dzieci, grając na pianinie i zalecając im zapamiętywanie melodii.

– Nie wiem, jak długo jeszcze będziemy mieli pianino. Niemcy mogą je skonfiskować. Więc musicie szybko uczyć się melodii.

Kiedy Tomasz kładł się spać 18 września, wiedział już, że członkowie rządu polskiego schronili się w Rumunii, zabierając ze sobą insygnia państwowe.

– Stamtąd mają zamiar udać się do Francji. Dobrze zrobili. Wolę rząd na obczyźnie niż rząd pozbawiony możliwości działania.

– Ja jednak czuję się osierocona.

Kraj, którego brunatnożółta barwa ziemi zlewała się z brązowymi, czarnymi i szarymi mundurami, stawał się coraz bardziej podobny do kukielki pozbawionej rąk i nóg. Europejskie powietrze nabierało zapachu prochu i mięsa armatniego. Nocami Zofia kołysała swoimi myślami to dziecko, które niewinnie i nieustannie w niej wzrastało. Tomasz zaś, pragnąc uchodzić za realistę, usiłował przekonać mieszkańców kamienicy, że wojna będzie dla Polski tragiczna.

– Czołgi i lotnictwo wroga są dla nas zbyt silne. Ale jeszcze groźniejsi są niemieccy politycy i dowódcy.

Janek znajdował przyjemność w obserwowaniu żołnierzy niemieckich i rozpoznawaniu ich stopni wojskowych po naszywkach i galonach. To zainteresowanie, na które Tomasz patrzył krzywym okiem, uważając za mocno wątpliwe, wykorzystał jednak, pragnąc czegoś nauczyć swojego młodszego syna. W tym celu rozłożył na stole w jadalni wielką mapę, tłumacząc Jankowi, gdzie znajdują się poszczególne armie, próbując jednocześnie odszukać drżącym palcem miejsca, gdzie mógł znajdować się obecnie Jurek. Tomasz i Zofię przenikał lęk.

– Czy mówiłem ci, Zofio, że umieram z niepokoju?

– Tak, widzę to.

Zofia spojrzała na męża, mrużąc oczy w takim półuśmiechu, który zdawał się zanikać w miarę upływu czasu.

Aż do końca września Polskę przenikał zapach trudny do opisania: zapach świec, które spływały woskowymi łzami wokół trumien polskich ofiar. Polska pachniała również niemieckimi kiełbaskami i rosyjską kapustą. Dwudziestego dziewiątego września Warszawa skapitulowała. Mieszkańcy Polski, zdruzgotani, zgnębieni, zdeptani, zwrócili się duchowo ku swojej przeszłości. Bezsilni patrzyli teraz na swój kraj podzielony jak ciastko między dwóch olbrzymów: Stalina i Hitlera. Pokonany naród miał dwóch nowych patronów, w żadnym razie świętych, których krucjaty nasiąkały ludzką krwią.

Ela spoglądała przez okno na podwórze kamienicy, starając się dostrzec jakąś różnicę między wrześniem a październikiem. Według słów mamy, z rozsądkiem przyjęła fakt, że z okazji swoich dwunastych urodzin musi się pocieszyć jedynie jabłkiem z nieco pomarszczoną skórką. Wytarła łzę spływającą po policzku. Pusty żołądek i ten ciągle dotkliwy ból po odejściu Jurka. Nadśluchiwała głosów dochodzących z sąsiedztwa w nadziei, że usłyszy głos brata.

Po kolacji, której mama starała się nadać pozory radosnej, tato, ciągle jeszcze przygnębiony kapitulacją Warszawy, wyciągnął wiolonczelę, Ela i Janek sięgnęli po skrzypce, a mama zasiadła do pianina. Dźwiękami menueta rozweselili uroczystość urodzinową Eli. W pewnej chwili Ela odłożyła swój instrument i sięgnęła po skrzypce Jurka.

– Prosił mnie, żeby na nich grać. A może teraz walca?

Skrzypce Jurka współbrzmiały teraz z innymi instrumentami w takcie na trzy. Odkąd Ela dowiedziała się, że Sowieci też

zaatakowali Polskę, napawał ją lęk o życie brata. Codziennie wieczorem, gdy usypiała, rozmawiała z nim w myślach, błagając, aby powrócił do domu.

Odeszła w końcu od okna i zwinęła się w kłębek pod kołdrą. Tę dwunastą rocznicę urodzin przespała na poduszce mokrej od łez, stawiając sobie pytanie, czy jeszcze kiedyś dzień jej urodzin będzie wypełniony śmiechem najbliższych.

## 6

- A co ty robisz, Tomaszu?
- Przygotowuję wam schronienie w piwnicy.
- W piwnicy? Mowy nie ma. Zejdę do piwnicy tylko wtedy, kiedy będą spadały bomby.

Klimat w Polsce zrobił się chłodniejszy, a ludzka serdeczność jest zjawiskiem coraz rzadszym. Ludzkie serca znalazły się w kleszczach pomiędzy niepokojem a strachem, rozpaczą a zwątpieniem. Miesiąc po kapitulacji Polski Tomasz ogarnęła panika. Obawiał się, że cena jego profesorskiej głowy będzie rosła z dnia na dzień i że będzie zmuszony opuścić rodzinę.

- Tomaszu, gdzie się podział mój optymista? Ty już nie myślisz, tylko przepowiadasz nieszczęścia.

- Ja nie przepowiadam. Ja to wiem.

Tomasz objął żonę, oplatając rękami jej wydatny już brzuch, i pocałował ją w czoło u nasady włosów. Zofia nie wiedziała, jak odnaleźć spokój, bo przecież Tomasz prawie zawsze miał rację. Był teraz pewien, że Niemcy będą usiłowali wyłowić najpierw polskich intelektualistów, a potem wszystkich innych przeciwników, zarzucając sieci, żeby w ten sposób wypatroszyć polskie społeczeństwo. Dostrzegął w tym logiczną strategię: Niemcy chcieli wykorzystać

Polskę jako punkt wyjścia do podboju Europy. Gorzej, Niemcy chcieli uczynić z niej taką wylęgarnię taniej siły roboczej. Obawiał się, że jego koszarne lęki mogą się zrealizować, że Ela i Janek we własnym kraju mogą zostać pozbawieni swoich narodowych korzeni, że Zofia nie będzie mogła cieszyć się spokojnie swoim macierzyństwem. Gorzko sobie wyrzucał, że nie wysłał ich do Kanady w czerwcu, kiedy ojciec Villeneuve oferował pomoc. W swoich rozmyślaniach posuwał się tak daleko, że skłonny był nawet ponieść za to karę. Dlaczego czekał z podjęciem decyzji aż do nocy poprzedzającej atak Niemiec na Polskę? Zofia pogładziła delikatnie kark Tomasza, rozczesując palcami jego włosy, jakby szukała w tym geście wewnętrzznego uspokojenia.

– Ludzie mówią, że Kraków to jedyne szczęśliwe miasto w Polsce.

Tomasz starał się nie słuchać tego wszystkiego, co wydawało mu się zbyt pocieszające. Zofia – przeciwnie, prawdopodobnie dlatego, że rozwijające się w jej łonie nowe życie skłaniało ją do przyjęcia postawy bardziej walecznej i realistycznej, wedle jej rozważania, a zdaniem Tomasza bardziej naiwnej.

– Jesteśmy szczęśliwcami, Tomaszu. Miasto nie ucierpiało, ponieważ generałowie niemieccy postanowili zamieszkać na Wawelu. Nasze dzieci nie będą patrzyły na rozprute domy ani na rozprute ludzkie brzuchy.

Tomasz bardzo chciałby wierzyć Zofii, ale wiedząc, że dręczy ją lęk o to dziecko, które ma się urodzić, nie mógł zanadto ufać jej słowom. Zofia natomiast była uradowana, że chociaż na pewien czas zdołała uspić chorobliwy lęk męża. Uważała, że jego niepokój wynika nie tylko z obaw o cierpienia i nieobecność, lecz z wiedzy na temat ludzkiej duszy, wtopionej w posąg i grobowce historii. Nie rozumiała, że Tomasza nękają wyrzuty sumienia; nie potrafił znaleźć bezpiecznego schronienia dla swoich bliskich, nie potrafił zatrzymać syna.



Tomasz zniósł do piwnicy swoje dokumenty i notatki z wykładów, a także książki, ze stanowczym postanowieniem kontynuowania nauczania swoich dzieci, a nawet swoich studentów. Wieczorem, kiedy już ustawił książki na zaimprovizowanych regałach, usiadł na wilgotnej polepie piwnicy i uśmiechnął się. Po raz pierwszy od września, wbrew trapiącym go lękom egzystencjalnym, zaczął snuć projekty. Wojna zasłoniła mu oczy na teraźniejszość, ale zostawiła małą szczelinę otwartą na przyszłość.

Ujął szczyptę ziemi w dłoń, roztarł energicznie i przesypywał teraz przez palce. Nagle zmarszczył brwi, przypomniał sobie o tym woreczku z ziemią, który zabrał ze sobą Jerzy, odchodząc w ów pamiętny wieczór. Usiłował odegnąć tę nawracającą bolesną myśl. I wtedy zaczął marzyć o tym, co można było zrobić: zorganizować tajny uniwersytet.

Ogarnął raz jeszcze spojrzeniem zza grubych szkieł półki z książkami. Tak, to właśnie tutaj, o ile władze niemieckie będą nadal odmawiać otworzenia uniwersytetu, chciałby ponownie zobaczyć swoich studentów. Przez cały październik on i inni profesorowie spotykali się często, usiłowali wywrzeć nacisk, by bramy uczelni się otworzyły. Ale niemieccy okupanci mieli ważniejsze problemy. Jak im wytłumaczyć, że Polska nie może sobie pozwolić na utratę całego pokolenia? Tomasz był świadomy, że to świetnie przystaje do jego teorii. Po co ich uczyć? – zdawał się słyszeć niemieckie głosy. Rzesza niemiecka potrzebuje rąk, a nie mózgów.

Tomasz rozejrzał się dookoła, wstał, wytarł ręce o spodnie i cichutko powrócił do mieszkania. Wsunął się pod kołdrę, położył głowę na ramieniu Zofii, która spokojnie spała, powierzając swoje łono niebu, ufna w Bożą opiekę i błogosławieństwo.

Początek miesiąca był nadzwyczaj smutny. W jesiennym deszczu kołysały się na gałęziach suche pojedyncze liście. Kraków nabrał koloru szarości. Pomimo męczącej i niepokojącej obecności żołnierzy

niemieckich, którzy zaczęli dokonywać systematycznych rewizji w mieszkaniach i samowolnych aresztowań, 1 listopada mieszkańcy Krakowa chociaż przez parę godzin oddawali się w dniu wspomnianiu swoich Świętych, a następnego dnia – swoich zmarłych.

Zofia wędrowała po mieście w poszukiwaniu warzyw, zatrzymywała się przed straganami, na których stare, pomięte i wilgotne gazety miały chronić żółtawobrunatne, wyschnięte jarzyny. Nie przyzwyczała się jeszcze do korzystania z czarnego rynku, żeby kupić trzy marchewki czy kapustę.

– Tomasz, pomyśl, proszę. Czy oprócz Porowskich nie znamy nikogo, kto mieszka na wsi?

– Przykro mi, Zofio. Jeżeli chciałabyś dobrze się odżywiać w czasie wojny, to należało być przewidującą i wyjść za mąż za rolnika, a nie za profesora historii.

Zofia spojrzała na Tomasza, wzruszyła ramionami i leciutko się uśmiechnęła. Tomasz pragnął ją rozśmieszyć. Zdawał sobie sprawę, że z każdym dniem Zofia stawała się coraz bardziej ociężała, a mające się narodzić dziecko pochłaniało te niewielkie porcje, które zjadała, pozostawiając jej tylko przyjemność smaku. Zofia prawie cały czas była głodna.

## 7

Janek wbiegł do mieszkania podekscytowany wiadomością, którą przynosił. Zofia wyciągnęła ręce, chcąc go zatrzymać, Tomasz zaś przez ułamek sekundy pomyślał, że być może wojna się skończyła.

– Uniwersytet będzie otwarty!

Chłopiec promieniał – przecież ta dobra nowina powinna sprawić ojcu radość. Ten jednak uniósł brwi z wyrazem sceptycyzmu na twarzy.

– Skąd to wiesz?

Twarz Janka sposepniała. Tato nie miał miny tak zadowolonej, jakiej chłopiec się spodziewał. Chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie pani Grabska zastukała trzykrotnie miotłą w sufit. Wobec tego Tomasz skierował się ku drzwiom wyjściowym, bez pośpiechu, jakby nic wcześniej nie zakłóciło minionych chwil. Wprowadził do mieszkania kolegę z uniwersytetu, który z uśmiechem wyciągnął ku niemu jakiś papier.

– Syn już ci mówił?

– Powiedział, że uniwersytet będzie otwarty.

– Ja mu to powiedziałem. Minęliśmy się na ulicy. No właśnie, uniwersytet otworzy swoje bramy. Nasze starania okazały się skuteczne.

– Nie wierzę w to.

Tomasz zaprosił kolegę do gabinetu, wyjaśniając jednocześnie, że nigdy dotąd Niemcy nie postępowali w ten sposób. Od czterech tygodni nie chcieli nawet wziąć pod uwagę takiej możliwości. Znajomy tłumaczył, że uzyskał tę informację od rektora, a ten nie widział powodów, żeby w to wątpić.

– A ja bym nie dowierzał. Przede wszystkim młodzi chłopcy i dziewczyny są poza Krakowem. A co do profesorów, to przypuszczam, że Niemcy najchętniej wsadziliby nas do więzienia...

Znajomy przerwał Tomaszowi, podnosząc nieco głos:

– Ale z ciebie zrzęda, Tomaszu. Owszem, jesteś profesorem historii, znasz świetnie przeszłość, ale to nie znaczy, że możesz trafnie odgadywać przyszłość. Przecież Niemcy zachowują się raczej poprawnie od początku wojny...

– Chyba kpisz?

– ...przynajmniej tu, w Krakowie. Tomaszu, wiesz jacy oni są zarozumiali i dumni. Żeby uczcić ponowne otwarcie uniwersytetu, zaprosili wszystkich profesorów na odczyt, który wygłosi jeden z nich, niejaki Bruno Müller.

– Ty naprawdę sądzisz, że oni chcą zorganizować małe przyjęcie dla profesorów, których mają pod swoim nadzorem od dwóch miesięcy?

– Nie, myślę tylko, że oni pragną nadać znaczenie temu ponownemu otwarciu uniwersytetu, to wszystko. Niemcy lubią takie błyskotliwe działania.

– Raczej błyski wybuchających pocisków...

Tomasz przetarł okulary i pokręcił sceptycznie głową, w ustach czuł gorycz. Znajomy podniósł się.

– Tomaszu, nie poznaję cię. Ten twój cynizm i ta nieufność...

Teraz znajomy wręczył Tomaszowi zaproszenie. Tomasz przeczytał pospiesznie i obiecał, że przyjdzie, chociażby z poczucia solidarności, a potem usiłował, jakkolwiek niezręcznie, przeprosić za swój niegrzeczny ton. Janek, który słyszał fragmenty rozmowy, podszedł do ojca.

– A ja myślałem, że to dobra nowina.

– Prawdopodobnie dobra, Janku. Z pewnością. Dziękuję ci.

Tomasz pogładził chłopca po ramieniu, potem przeszedł do salonu. Zbliżył się do pianina, na które rzucił przeczytane zaproszenie. Major Bruno Müller przedstawi „Stanowisko III Rzeszy i narodowego socjalizmu wobec problemów nauki i nauczania uniwersyteckiego”. Tomasz przeciągnął palcami po klawiaturze, zdjął okulary, przetarł je, po czym założył ponownie, żeby jeszcze raz przeczytać tekst zaproszenia. Ale słowa zlewały się w jakieś pętle. Poczuł uderzenia jakby młoteczków w skroniach. Odsunął jednak myśl, że to pulsowanie w skroniach miałyby oznaczać koniec.

Zofia, uśmiechnięta, patrzyła na wychodzącego męża. Tomasz starannie się ogolił, założył koszulę, upraną i uprasowaną przez nią z wielką starannością. Janek zajął się butami ojca, polerował je zawzięcie, spluwając na powierzchnię buta, co podpatrzył u żołnierzy, Ela natomiast wyprasowała ojcu spodnie. Zofia nie poprawiła

pracy córki i fatalne zaprasowanie kantu prawej nogawki było widoczne aż do poziomu kostki. Tomasz miał tremę. Uścisnął Janka przed wyjściem do szkoły, zapewniając, że wszystko będzie dobrze. Tomasz nie przyznawał się do swoich niedobrych przeczuć. Dwukrotnie ucałował Zofię i zgodził się, żeby Ela, która nie miała lekcji od chwili wkroczenia wroga do Krakowa, towarzyszyła mu przez część drogi.

Kiedy Tomasz zamknął za sobą drzwi, Zofia zasiadła do pianina, pragnąc za pomocą klawiatury wyrazić niepokój, który tamował jej oddech gdzieś w okolicy splotu słonecznego. Spojrzała na zegarek, próbowała dostosować rytm swojego *Preludium* do kroków stawianych przez Tomasza na bruku, kroków, które z pewnością pokrywały kurzem jego buty, tak pracowicie wypucowane przez Janka. Odgadywała, że ciągle jeszcze jest na ulicy Świętego Krzyża i że powinien już dochodzić do Plant. Tymczasem powróciła Ela i usiadła za nią, domyślając się, że mama potrzebuje teraz samotności, a zarazem jej obecności.

Zofia nadal podążała za Tomaszem, akcentując klawiszami zmieniający się rytm. Teraz powinien już widzieć siwowłosych starszków okupujących ławki na Plantach. Zwolniła nieco tempo, pomyślawszy, że Tomasz mija zapewne mieszkańców Krakowa, którzy nosili przypiętą do ubrania Gwiazdę Dawida. Ten niemiecki wymóg irytował Zofię i Tomasza w najwyższym stopniu. Teraz Tomasz powinien już skrócić w prawo, w ulicę Dominikańską, przejść przez plac Wiosny Ludów i dalej iść już ulicą Franciszkańską (biorącą swą nazwę od innych zakonników), aż do ponownego przejścia przez Planty, tym razem z drugiej strony.

Przerwała na chwilę grę, potarła zziębnięte dłonie. Jeszcze raz zaatakowała klawiaturę krótką sarabandą. Po chwili, odgadując, że Tomasz musiał już dotrzeć na uniwersytet, odsunęła się od klawiatury. Złożyła dłonie, nadal zimne; sprawiała teraz wrażenie modlącej się mniszki. Żałowała gorzko, że nie zatrzymała Tomasza,

że zanadto zaufała temu małemu, prawie ślepemu zwierzątku, tak bardzo kochanemu. Nie mogła sobie wybaczyć, że przemilczała swoje obawy i lęki. Ponownie spojrzała na zegarek, podniosła się i skierowała do drzwi, żeby wpuścić ucznia, zapowiedzianego trzema stuknięciami miotły pani Grabskiej. Zaprosiła go do mieszkania, z uśmiechem, stawiając sobie zarazem pytanie, ile czasu wytrzyma, zanim ogarnie ją drzenie.

Wejście do gmachu Uniwersytetu nie budziło żadnych podejrzeń, jakkolwiek nikogo nie częstowano winem, mimo że była to pora aperitif. Profesorów kierowano do sali im. Józefa Szujskiego, którą oni nazywali zwyczajowo „salą nr 56”, zgodnie z tabliczką umieszczoną nad dwuskrzydłowymi drzwiami. Sala była dosyć obszerna, jednak Tomasz zdziwił się, że nie zaproszono ich do jednej z sal amfiteatralnych. Z radością ucisnęła rękę rektora, profesora Tadeusza Lehr-Spławińskiego, potem dziekana i kolegów profesorów. Niemiecki oficer stojący w przedniej części sali z uśmiechem przeproszał zaproszonych za spóźnienie referenta.

Profesorowie zasiedli w ławkach, może nieco zbyt licznych jak na wielkość sali, dzielili się przede wszystkim swoją radością z powrotu do ukochanej uczelni. Rozmawiali i śmiali się trochę za głośno, jak gdyby ściśnięte pod pulpitemi kolana ich odmładzały. Teraz do sali wszedł drugi oficer i powiedział coś na ucho pierwszemu, a ten oznajmił zebranym, że referent już przybył na teren uniwersytetu i za chwilę pojawi się w sali. Ciszę, jaka na moment zapadła, zaczęły ponownie wypełniać głosy. Jednak wyczulone ucho mogłoby zauważyć, że niektóre nuty serdeczności jakby się ulotniły. Tomasz milczał, a chcąc się odprężyć, zaczął liczyć ławki i profesorów, którzy zaszczylili tę uroczystość. Zauważył też, że w sali zainstalowano podwójne okna, widać przed nadchodzącą zimą, i nawet się ucieszył, że Niemcy nie pozostawili tej pracy personelowi uniwersyteckiemu. Polacy mieli przecież obowiązek

chronić swoje dziedzictwo narodowe, zwłaszcza ten uniwersytet, jeden z najstarszych w Europie, który przyjmował studentów od prawie sześciuset lat.

Tomasz zdjął okulary, przetarł dłonią spocone czoło i oczy. Oddychał pospiesznie, zastanawiając się, co może być tego przyczyną – upał, niewygodna czy może lęk. Założywszy ponownie okulary, spostrzegł siedzącego przy oknie człowieka, którego twarz wydawała mu się znajoma. Poczł, że błednie, rozpoznając w nim jednego z urzędników uniwersytetu. Rozejrzał się uważnie i wtedy dostrzegł jeszcze inne osoby nienależące do grona profesorskiego. Wstał i podszedł do rektora.

– Proszę mi wybaczyć, panie Tadeuszu, ale czy pan coś wiedział o zaproszeniu tu również urzędników?

– Nie, a dlaczego pan pyta?

– Ponieważ widzę ich tutaj chyba z dziesięciu. Sądzi pan, że byliby tak zainteresowani problemami nauki i nauczania uniwersyteckiego?

Rektor nic nie odpowiedział, ale zmarszczył brwi. Tomasz pochylił się i szepnął rektorowi jeszcze coś na ucho.

– Co pan mówi, panie Tomaszu?

– Mówię, że lepszej zasadzki nie sposób byłoby wymyśleć.

Niestety, Tomasz nie miał już czasu, ażeby dowiedzieć się, co sądzi o tym rektor. Ogromne dwuskrzydłowe, brązowe drzwi umieszczone pośrodku jednej ze ścian sali otworzyły się. Pomruk ulgi dał się słyszeć w pierwszych rzędach, podczas gdy w dalszych zapanowała śmiertelna cisza. Tomasz szybkoitko prześlizgnął się do swojej ławki, a do sali wkroczyli uzbrojeni żołnierze niemieccy i stanęli po obu stronach profesorskiej katedry. W tym momencie Tomasz zauważył, że ze ściany zniknął obraz z wizerunkiem orła białego. Pozostał jedynie sterczący gwóździ, który dramatycznie wyjaśniał zebrany, jaki był prawdziwy powód tej uroczystości. Tomasz poczuł, że jego głowa robi się ciężka,

a broda opada na klatkę piersiową. Ze wszystkich stron dochodziły teraz do Tomasza słowa niedowierzania, westchnienia, okrzyki przerażenia, a także nieukrywanej złości. Tomasz milczał, myślami wrócił do swojego domu, żeby raz jeszcze ucałować Zofię, pogłodzić główkę Janka i obdarzyć pełnym czułości uśmiechem młodą pannę, jaką stawała się Ela. Ale teraz do uszu Tomasza dotarł głos o wiele silniejszy niż poprzednie – ostry głos w języku niemieckim. Wszystkim zgromadzonym, Tomaszowi i pozostałym stu osiemdziesięciu trzem osobom, wydano rozkaz powstania z miejsc i udania się za żołnierzami. Towarzyszył temu szcęk broni gotowej do strzału, jakby prowadzono kryminalistów. Tomasz starał się chociaż spojrzeniem dodać otuchy kolegom historykom, uśmiechnął się blado do profesora Glemmy, a gestem wyraził swoje uznanie profesorowi Lepszemu. Przy wyjściu z sali usłyszał za sobą głos znajomego profesora, który w swojej nieświadomości posłużył Niemcom za posłańca, wręczając profesorom zaproszenie do tej podróży, a teraz prosił Tomasza o wybaczenie.

Po raz pierwszy Tomasz uczynił wysiłek, ażeby widzieć jaśniej, niż mu pozwalały okulary. Usiłował odcisnąć w swojej pamięci widok arkadowych sklepień, kandelabrowych czy lakierowanych boazerii na drzwiach. Usłyszał rozkaz zatrzymania się po lewej stronie przed schodami. Z pochyloną głową przyglądał się teraz obrazkom na błękitnych i żółtych kafłach posadzki. Zauważył, że jeden z kafli jest popękany. Chwilę potem rozległy się okrzyki nakazujące schodzić na dół. Tomasz notował w pamięci balustrady na galeriach, z ornamentem z rozet. Usiłował liczyć stopnie schodów, ale potknął się na podeście i zadowolił się stwierdzeniem, że pewnie jest ich dwa razy po piętnaście. Przechodzili teraz pod ostrołukowym sklepieniem, skręcili raz jeszcze i zaczęli iść w kierunku wyjścia. Tomasz uzmysłowił sobie, że nigdy dotąd nie zwracał uwagi na koloryt gotyckich kolumn, od



beżu aż do brązu, poprzez liczne odcienie szarości. Wreszcie dostrzegł bramę wyjściową i zapytał siebie samego, czy nie pęknie mu serce, zanim ujrzy blask słońca. Było południe, co obwieszczały dzwony Krakowa zagłuszające hejnał z wieży mariackiej. Zbliżali się już do dziedzińca i Tomasz zauważył, że posadzka jest ułożona z dużych kafli we wzór szachownicy. Minęli jeszcze kilka bram z kutego metalu i wyszli na dziedziniec, gdzie znowu nakazano im się zatrzymać.

Ciężarówki przejeżdżały przez miasto z prychnieniem mechanicznych koni ciągnących ten ludzki ładunek przesycony potem i lękiem. Mężczyźni milczeli wsłuchani w swoje myśli i serca.

Samochody zatrzymały się wreszcie i Tomasz rozpoznał budynki więzienia na Montelupich. Musieli więc przejeżdżać tuż obok szkoły Janka. Pod eskortą żołnierzy, jeszcze liczniejszych niż na uniwersytecie, weszli do środka, zaś Tomasz zdumiał się widząc, jak bezsilność i niepokój mogą spowolnić ludzkie kroki.

Zapadała już noc, kiedy Ela wślizgnęła się do swojego pokoju, wkrótce to samo zrobił Janek, a Zofia, którą dzieciątko łaskawie przestało kopać, zdołała wreszcie opanować drżenie ciała.

Przez dwa najbliższe dni profesorowie pozostawali w murach więzienia, oczekując na decyzje o ich dalszym losie.

– Sądzę, że chciano nas tylko nieźle przestraszyć i pewnie jutro wrócimy do domów.

– Ja też tak myślę. Niemcy chcieli dać nam do zrozumienia, że uniwersytet będzie zamknięty i że to nie podlega dyskusji.

– A co pan o tym sądzi, panie Tomaszu?

Tomasz miał wielką ochotę powiedzieć im, że według jego szczerzego przekonania, to jest pierwsza stacja ich drogi krzyżowej. Ale zamiast tego uśmiechnął się blade i wzruszył ramionami.

– Skoro pan Tomasz nic na ten temat nie sądzi, to znaczy, że historia nie zostawiła nam odpowiednich wzorców. Nie wiadomo więc, co o tym myśleć.

– Profesorze, czy pan sądzi, że data 6 listopada okaże się datą pamiętną?

– Jeden z pracowników uczelni zdołał wyjść ze stanu otępienia, formułując takie pytanie.

– Z całą pewnością.

Tomasz potwierdził słabym uśmiechem swoje przekonanie, a ze spojrzenia tego zacnego człowieka wynioskował, że doskonale zrozumiał, co się im wszystkim przydarzyło. Po dwóch dniach w tej otchłani profesorowie zostali podzieleni na grupy, kazano im ponownie wsiadać na ciężarówki, które wiozły ich na dworzec. Nie tylko Tomasz domyślał się, że pociągi wyruszą do różnych miejsc przeznaczenia. Mężczyźni pozdrawiali siebie, ostrożnie wyrażając nadzieję, choć sami w to nie wierzyli, że zobaczą się na uniwersytecie, gdy tylko skończy się wojna. Kiedy ciężarówka zatrzymała się przy bramie dworca, kazano wszystkim wysiadać. Tomasz spojrzął za siebie w cichej nadziei, że ujrzy Zofię, Elę i Janka.

Pociąg zatrzymał się w szczerym polu. Tomasz zamknął oczy, pewny, że zaraz usłyszy pluton egzekucyjny z naładowanymi karabinami wycelowanymi w plecy. Ale ciszy nie wypełniał żaden chrzęst ani trzask. Tomaszowi i grupie mężczyzn kazano przejść do innego wagonu. W czasie wchodzenia popędzano ich lufami karabinów, bijąc po głowach i plecach. Tomasz nie opierał się, ale w tym popłochu spadły mu okulary, zdołał jednak podnieść je i założyć na nos. I wtedy w górnej części lewego szkła zauważył mały odprysk. Sprawił on, że Tomasz poczuł się nawet szczęśliwy – będzie mógł od rana do wieczora widzieć tę małą gwiazdkę błyszczącą niczym diament. Obiecał sobie, że od grudnia będzie

wodził za tą gwiazdką wzrokiem, jakby był jednym z Trzech Króli. I śledził ją przez długą wojenną ciemność, pamiętając, że u krańca tej drogi czeka na niego nowo narodzone dziecko.

– Słyszałem, że wiozą nas do Wrocławia.

– Czemu nie?

Tomasz, podobnie jak pozostali koledzy, czekał, aż zajmą się nimi odpowiedni funkcjonariusze. Ta nowa stacja drogi krzyżowej była już tak nieznośna, że Tomasz zastanawiał się, czy może lepiej byłoby rzucić się w otchłań, aniżeli mieć świadomość, że oto znaleźli się w przedśionkach piekła.

Dzień pukał do ścian więzienia pod eskortą żołnierzy w wysokich podkutych butach i zwiastował tę samą mordęgę: ciężarówka, dworzec, pociąg.

Pociąg jechał już bardzo długo i Tomasz zadawał sobie pytanie, czy są jeszcze na terenie Polski. Jedyną pocieszającą rozrywką stało się patrzenie na źle zaprasowany kant spodni. Wreszcie pociąg stanął. Tomasz usłyszał krzyki i niemieckie rozkazy. Z łomotem otwarto ciężkie zasuwane drzwi wagonu. Ludzie zeskakiwali na ziemię, byli wygłodniali, chcieli pić. Spoza swojej małej gwiazdeczki na szkle okularów Tomasz odczytał: Sachsenhausen. Pędzono ich do gniazda niemieckiego orła.

## 8

Zofia nie zdołała jeszcze znaleźć pocieszenia dla swoich dzieci i dla swojego serca, kiedy kalendarz obwieścił nadchodzący nowy, 1940 rok. Zamykała się w swoim wnętrzu, pragnąc rozmawiać z tą cząstką życia, którą powierzył jej Tomasz. Usiłowała, niestety